



EMMA GOLDRICK



Panna Latimore

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Mathilda Latimore niechętnie zeszła z chwiejnego, drewnianego pomostu w Omdurmanie, żałując, iż przybyła do tego miejsca. Gorące słońce oświetlało jej smukłą sylwetkę i muskało kosmyki jasnych włosów wymykające się spod tropikalnego hełmu. Zbliżał się koniec maja i temperatura w południe dochodziła do trzydziestu ośmiu stopni Celsjusza. Lada dzień oczekiwano nadejścia pory deszczowej.

W miejscu, gdzie Nil Biały łączy się z Nilem Błękitnym, widoczna była kopuła meczetu, a nieco dalej na północ ciągnęła się zadymiona dzielnica fabryczna północnego Chartumu.

Ze wszystkich stron osaczała Mathildę kakofonia dźwięków: arabski pomieszany z dwudziestoma sześcioma nilockimi językami Demokratycznej Republiki Sudanu. Parowiec, który zbliżał się do doku, mógł zabrać pięćdziesięciu pasażerów, a czekało na niego już ponad trzysta osób.

Dobrze mi tak, pomyślała gorzko Mathilda. Gdzież jest ten człowiek? Nic nie przebiegało zgodnie z planem. A wszystko zaczęło się w Bostonie, przy stole w starej posiadłości w miasteczku East-boro.

- Straciliśmy panowanie nad sytuacją - oznajmił jej ojciec, Bruce Latimore. - Ta linia kolejowa miała być naprawiona trzy miesiące temu. A od trzydziestu dni nie dostajemy żadnych wiadomości od Quinna. Ktoś musi pojechać.

- To nie będziesz ty, Bruce - wtrąciła się stanowczo jego żona. - Jeszcze nie wyleczyłeś się z grypy. Na pewno nie pozwolę ci gnać do Afryki dla jakiejś kolei! Mimo drobnej postury Mary-Kate Latimore przemawiała władcym tonem matriarchini i mało kto z klanu Latimore'ów był gotów stawiać jej opór.

- Mamy kilku innych inżynierów - nadzorców - sugerowała Mathilda.

- Żaden nie mówi po arabsku, Mattie - odparł jej ojciec. - Zresztą połowa z nich jest za stara na taki tryb życia. Potrzebujemy młodego, energicznego inżyniera, który zna arabski i nie ma pilnych zobowiązań.

- Nie patrzcie na mnie - powiedziała pośpiesznie Mathilda, czując, że po grzbiecie przechodzą jej nieprzyjemne ciarki. - Jestem z branży budowlanej. To znaczy wznoszę budynki. Nie mam zielonego pojęcia o kolejach! - Ale ojciec patrzył na nią. Matka również.

- Poza tym tylko studiowałam arabski, nie mogę powiedzieć, że dobrze się nim posługuję - dodała wzburzona.

- To żadne zmartwienie - oznajmił ojciec. - Mamy w Chartumie nowego człowieka, nazywa się Ryan Quinn. Jest jednym z najlepszych. I zna arabski, a może i z pół tuzina innych języków.

- Dziwne, że jeszcze go nie poznałam - odrzekła Mathilda. - Jestem wiceprezesem korporacji i nie znam jednego z kierowników?

- Ostatnim razem, gdy tu przyjechał, byłeś w Meksyku. Zawsze tak się śpieszysz, że brakuje ci czasu na pojechanie gdzieś, na zrobienie czegoś więcej, Mattie. Czasami żałuję, że... nieważne! On mi się spodobał.

- To ma być cała rekomendacja? - zaśmiała się Mathilda.

- Czym się martwisz? - zapytał łagodnie Bruce. Byłeś ze mną na wielu kontraktach za oceanem.

- Tak, w tym sęk - westchnęła. - Teraz chcesz, żebym była tam sama, z jakimś facetem w kasku, który nawet mnie nie zna? Oboje wiecie, jak ciężko jest dziewczynie zdobyć szacunek ludzi na budowie. A może powiecie, że ten gość Quinn jest łagodny jak baranek?

- Niezupełnie - odparła żywo jej matka. - Sądzę, że jest wręcz przeciwnie. Sprawiał wrażenie bardzo...

- Przestań już, Mary-Kate - zachichotał Bruce. - Mattie

pojechałaby tam jako moja przedstawicielka. Wystarczy tylko, żeby zachowywała spokój, skontrolowała wszystko i trochę porządziła, a potem wróci do domu.

- Masz rację - zgodziła się żona z uśmiechem. Mattie dostrzegła w nim coś więcej niż czułość. Po tylu latach małżeństwa nadal kochają się do szaleństwa!

- W porządku, wyduś to z siebie! - zażądał. Jego drobna żona wzruszyła ramionami.

- Ta podróż może się okazać dobra dla naszej Mattie - powiedziała do nich. - Pozwoli jej dorosnąć. Ale jakoś nie mogę zapomnieć, że tygrys niekiedy zjada świeże mięso, które wrzuca się do jego klatki.

Ani Bruce, ani jego córka nie zrozumieli, o co jej chodziło.

Rodzina podjęła decyzję, wskutek której Mattie przebyła połowę świata z torbami wypchanymi pigułkami przeciw malarii, z tabletkami oczyszczającymi wodę i odpowiednią odzieżą, a także w podłym nastroju, gdyż znalazła się w centrum jednego z najbardziej niebezpiecznych miejsc na Ziemi. Gdzież, na Boga, był pan Ryan Quinn?

- Ryan, podejrzewam, że po raz kolejny porywamy się z motyką na słońce - mruknął Harry Crampton. Stojący obok niego wysoki, krzepki mężczyzna zsunął lekki kask z czoła, otarł je z potu za pomocą podniszczonej chusteczki i potrząsnął głową z niesmakiem.

- Tak mi się wydaje - wymamrotał w odpowiedzi. - Widzisz cokolwiek?

- Po czym go poznać? - narzekał Harry. - Jak on wygląda?

- Nie mam najmniejszego pojęcia. Wysoki. Przypuszczam, że tęgi, jak jego ojciec. Okrutny. Ten jego staruszek wyglądał na kogoś, kto dla rozrywki mocuje się z czarnymi niedźwiedziami i zjada podkowy. Może jest blondynem. Nie wiem, do diabła.

- Ale dlaczego tutaj, w Omdurmanie?

- Ponieważ przyleciał późno w nocy sześć dni ternu i, psiakrew, zarejestrował się w tym zapchlonym urzędzie w centrum miasta.

Przez ostatnie sześć dni odwiedzał wszystkie agencje rządowe, jakie istnieją, i próbował uzyskać pozwolenie na wyruszenie w głąb kraju, a ja ciągle zostawałem za nim w tyle, o pół dnia! W ostatnim biurze, w którym byłem, powiedziano mi, że Matt Latimore zarezerwował rejs na pokładzie „Hurrija”. Dlatego tu jesteśmy. Miej oczy otwarte, do cholery, mam dość kłopotów i bez gubienia wielkorządcy imperium Latimore'ów!

- Spokojnie, Ryan, spokojnie. Popatrz lepiej na tamtą małą ślicznotkę! - Harry Crampton, zwalisty mężczyzna, którego łysą, pięćdziesięcioletnią czaszkę okalała siwa grzywka, spędził w głębi kraju dużo czasu, toteż rozkoszne blond włosy pod tropikalnym hełmem wzbudzały jego podziw. Do smukłej figury dziewczyny przylegała, a właściwie przyklejała się beżowa kurtka. Sięgająca do kolan spódnica nadawała się do noszenia w Bostonie. Teraz przywierała do pełnych pośladków w sposób, który wzbudzał u każdego faceta choć odrobinę pożądania.

- Do diabła, nie mam na to czasu - warknął Ryan Quinn. - Nie mam pojęcia, dlaczego ci ludzie w Bostonie myślą, że potrzebuję niańki! Nie mam czasu na takie imprezy. Spędziłem na tym odludziu już miesiąc bez dobrych rezultatów.

Jego towarzysz chciał okazać mu sympatię, ale mały parowiec zawinął już do przystani i na brzeg spuszczone dwie kładki o szerokości półtora metra. Tłum zbił się, a potem ruszył do przodu. Czterej członkowie załogi z plemienia Masakin Tiwal, którzy górowali nad resztą wzrostem, przeszli na bok łodzi, żeby utrzymać względny porządek. Byli wysmukli, odziani w przepaski na biodrach.

Pasażerowie tłumnie weszli na pokład. Mniej więcej połowa z nich nosiła europejską odzież: koszule z długimi rękawami i długie bawełniane spodnie. Jedna czwarta miała na sobie arabskie ubiory: abę przykrytą tradycyjną džellabą przypominającą płaszcz, albo po prostu białą gallabiję, czyli coś w rodzaju długiej, zwyczajnej koszuli nocnej. Przeważały turbany, ale można było dostrzec kilku niedobitków pustynnej arystokracji noszących chusty, które

podtrzymywał kafijeh - wielobarwny sznur. Zgodnie z tym, czego można oczekiwać po narodzie złożonym z wielu ras, na pokładzie znalazło się paru uciekinierów z plemienia Dinka. Ich ciemnobrązowe ciała lśniły w promieniach słońca.

- Poczekajmy do końca - powiedział Ryan Quinn. - Jeżeli się nie pojawi, będziemy musieli zawrócić. Tak czy siak, na pewno będziemy mieli spore kłopoty!

- Wygląda na to, że nasza kobietka zbiera się do drogi. Jak sądzisz, dlaczego ktoś taki jak ona chce płynąć rzeką?

- Może dlatego, że nie stać jej na pociąg albo autobus - burknął Ryan Quinn. - Na miłość boską, proszę cię, nie zaczynaj od tego numeru z „pomocną dłońią”. Ona mogłaby być twoją córką!

- Być może - wyszczerzył zęby Harry - ale ty masz tylko trzydzieści pięć lat. W sam raz!

Dotknął runda tropikalnego hełmu, zrobił złośliwą minę i podszedł do dziewczyny.

Mattie obserwowała jego nadejście. Praktycznie cała reszta pasażerów weszła na pokład i tłoczyła się na otwartej przestrzeni między pomostem sternika a dziobem statku. Część skierowała się ku rufie, gdzie pokład osłaniała markiza w jaskrawych barwach. Mattie była nieco oszołomiona, a także osłabiona mdłościami w żołądku i sześciora nie dospanymi nocami.

- Czy aby na pewno znajduje się pani we właściwym basenie? - zapytał Harry zdejmując hełm. Mówił przez nos jak typowy Amerykanin ze środkowego zachodu. Westchnęła z ulgą.

- Nie wiem - wyznała. Jej łagodny kontrakt odznaczał się nowoangielskim akcentem i to wystarczyło, by zauroczyć Harry'ego. Pomyślała, że nic jej nie grozi ze strony tego dobrodusznego człowieka. Ale ten drugi facet - co za kosę spojrzenie! Mogłaby przysiąc, że w trakcie lunchu pożera podkowy.

- W biurze podróży powiedzieli mi, że mogę dotrzeć do Kosti statkiem. Ta łódź odpłynęła jako pierwsza. Moje plany... wzięły w łeb.

Już ja dołożę Raynowi Quinnowi, kiedy go znajdę, pomyślała z zawziętością.

- Zdecydowałam więc, że ruszę dalej na własną rękę.

- To nieodpowiedni kraj dla podróżującej samotnie kobiety - powiedział łagodnie Harry. - Powinna była pani pojechać pociągiem. Pozwoli pani, że pomogę zanieść pani bagaż. - Zarzucił na ramię jedną z trzech walizek, a drugą wziął do ręki.

- To wszystko, co pani przywiozła? - zapytał na wszelki wypadek.

- Wszystko, co przywiozłam? - Obdarzyła go jednym z tych firmowych uśmiechów klanu Latimore, które, jak zaklinał się jej ojciec, mogłyby zawrócić zegary w Massachusetts.

- Wydawało mi się, że przywożę za dużo rzeczy! - Obiema rękami podniosła trzecią walizkę i udała się za nim na pomost. Skręcił na lewo, w stronę rufy. Oficer-muzułmanin stojący u wejścia na pomost spojrzał na nią z zaskoczeniem i zrobił znaczek na liście pasażerów.

- Nie chodzi tu o ilość, ale raczej o jakość. - Rzucił przez ramię Harry. Buchnęła para na mostku i rozległo się charakterystyczne buczenie. Mattie poczuła pod stopami drżenie pokładu. Nie widać było żadnej kajuty ani krzesła. Harry położył jej walizki przy rufie.

- Najlepiej będzie w tym miejscu - oświadczył.

- Cały czas wieje bryza, a ludzie nie będą się potykać o panią. Proszę się rozlokować tutaj.

- Ale ja prosiłam o bilet pierwszej klasy - odrzekła stanowczo. - Myślałam...

- To jest właśnie pierwsza klasa - na rufie - zachichotał Harry. - Druga klasa - w cieniu na dziobie. Bieżącą wodę mają tam, ale proszę jej nie pić.

- To wszystko?

- Wszystko. Aha, nazywam się Crampton. Harry Crampton.

Stali przy nadburciu obserwując, jak łopatkami zagarniają mętłą wodę. Ani Nil Biały, ani Nil Błękitny nie zasługiwały na swoje nazwy.

Płynąca powoli na północ rzeka była wzburzona i brudna. Mattie spojrzała kątem oka na rosłego kompana Harry'ego, który właśnie przyłączył się do nich. Był zapewne jego rodakiem. Pomyślała, że właśnie takich facetów ma się ochotę nienawidzić. Liczył sobie jakieś metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Brązowe oczy i włosy, kwadratowa, niezmiennie ponura twarz. Szerokie, kanciaste ramiona i gruby kark - typowa sylwetka piłkarza! Potężnie zbudowany, tępy, silny i arogancki. Dobór tych określeń sprawił jej przyjemność.

- Crampton. Harry Crampton - powtórzył starszy mężczyzna wyciągając rękę. - Budownictwo. Jesteśmy w drodze do Kosti.

- Latimore - odwzajemniła się z uśmiechem, wsuwając długą, wysmukłą dłoń w jego łapsko. - Mattie Latimore. Ja też zajmuję się budownictwem.

- O... - wymamrotał mocno zbudowany nieznajomy, używając starego, wulgarnego wyrażenia rodem z wiejskiego podwórka. Spiorunował ją wzrokiem, jego spalona słońcem twarz poczerwieniała, zakręcił się na pięcie i odszedł nie tając wściekłości.

- Musisz to zrozumieć - tłumaczył Harry w kilka godzin później, kiedy siedzieli z Mattie na ławie przy nadburciu. - On ma mnóstwo rzeczy na głowie. Z tą koleją wiążą się wszelkie możliwe problemy. Nie znosi, jak węszy tu ktoś z zarządu, a teraz ma niemały kłopot, zważywszy, że jesteś... zająknął się i przestał mówić.

- Że jestem kobietą, tak? - Potrząsnęła głową z niesmakiem. W tych czasach? Naturalnie, wiedziała, że szowinizm występuje wszędzie, zwłaszcza w Bostonie. A w tak ciężkim zawodzie jak budowlaniec trudno było kobiecie wyrobić sobie markę. Połowę sukcesu Mattie zawdzięczała swoim uzdolnieniom i ukończeniu (z bardzo dobrymi wynikami) Instytutu Technologii w Massachusetts, ale chętnie przyznawała, że nie osiągnęłaby drugiej połowy, gdyby nie była córką Bruce'a Latimore.

- Cóż, nic na to nie poradzę - westchnęła. - Albo się z tym pogodzi, albo...

- Albo co? - Mężczyzna, o którym mówili, powoli wynurzył się zza ich pleców. Jego głęboki głos był cichy, ale przenikliwy, co nie nastrajało Mattie przychylnie. Czułaby się swobodniej, gdyby mówił piskliwym tenorem albo przejawiał jakąś inną słabostkę. Lecz dobry nadzorca stara się przecież o przyjazne kontakty ze współpracownikami! Obróciła się i spojrzała na niego z uśmiechem.

- Albo niebo się zawali, kurczaczku - odrzekła prowokacyjnie.

Ryan nie miał ochoty na żaden kompromis. W półmroku dostrzegał jej wysmukłą sylwetkę, proste, długie do ramion włosy, które rozwiewał wiatr, błysk niebieskich oczu i nieznacznie nabrzmiałe piersi. Wysłała ją, żeby mnie szpiegowała! Jest jeszcze milion rzeczy do zrobienia, a ja nie mam cierpliwości, żeby niańczyć jakąś babkę z zarządu, myślał z goryczą.

- Jak długo chcesz tu pozostać? - zagadnął.

- Wyczuwam, że chętnie pomógłbyś mi w powrocie do domu - odrzekła nieco poirytowanym głosem. - Szkoda, że nie wykazałeś takiej chęci, kiedy miałam się tu zjawić. Zostanę tyle czasu, ile trzeba będzie.

- Hej, to nie moja wina - burknął. - Z Kosti do Chartumu jest ponad dwieście pięćdziesiąt kilometrów. Trafiliśmy na drogę zablokowaną przez rząd i przetrzymali nas.

- Przez sześć dni? - zapytała z niedowierzaniem.

- Sześć dni i parę godzin - dodał ponuro Harry.

- Nie mieliśmy odpowiednich pieczętek rządowych na naszych papierach.

- A więc kiedy ja w pocie czoła uganiałam się po Chartumie jak jakiś głupek, żeby zebrać podpisy od wszystkich urzędników, których kiedykolwiek tam mianowano, wy siedzieliście sobie wygodnie w hotelu nie przejmując się niczym! - wtrąciła się ze złością Mattie.

- Tak, oczywiście - powiedział Ryan Quinn, a z każdego słowa przebijało znudzenie.

- No, to nie było dokładnie tak - zaprotestował Harry.

Spędziliśmy cały ten czas w więzieniu w Sennarze, a potem potrzebowaliśmy kolejnego dnia, żeby się odwszawić!

Mattie odwróciła się nerwowym ruchem, aby spojrzeć w oczy Ryanowi Quinnowi.

- Mogłeś o tym wspomnieć - powiedziała cicho.

- Nie jestem zupełną kretynką. Zrozumiałabym.

- Czyżby? - warknął. - Byłabyś w takim razie pierwszą znaną mi kobietą, która rozumiałaby cokolwiek!

- Bzdura! - Prychnęła. - Czyżbym natknęła się na jedyne mizoginistę w Afryce?

- Nie sądzę - przerwał w niefortunnym momencie Harry. - Jeżeli dobrze rozumiem to słowo, jest ich jeszcze dwóch, a może i trzech. Zaczekaj, aż poznasz Artafiego.

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- To przez niego nie funkcjonują koleje - dodał pośpiesznie Harry. - Więcej na ten temat opowiem ci w Kosti, jeżeli tam dotrzemy. Pora na małą wyzerkę.

- To brzmi nieźle - zgodziła się Mattie. - Gdzie jest kuchnia?

- Kuchnia? - Obydwaj mężczyźni przemówili równocześnie.

- Chcesz powiedzieć, że nie przywiozłaś żadnego jedzenia? - jęknął Ryan.

- Oczywiście, że nie przywiozłam żadnego jedzenia - odparła ze złością Mattie. - Mówiłam wam, że kupiłam bilet pierwszej klasy. Kiedy podawany jest posiłek?

- Och, Boże, zmiłuj się nade mną - jęknął Ryan ocierając czoło rękami. - Rozejrzyj się, panno Niewiniątko - nie jesteśmy na rzece Mississippi. Twój bilet pierwszej klasy uprawnia cię do podróżowania pod markizą. Potrwa to, hm, jakieś dwie doby. Tu nie podaje się jedzenia - trzeba je wziąć ze sobą. Zresztą gdyby nawet podali, jadłby je tylko szaleniec. Amerykańskie żołądki nie trawią afrykańskiego robactwa, podobnie jak afrykanin nie trawi amerykańskiego jedzenia.

- W porządku - westchnęła. - Przez kilka dni będę głodna.

Napiję się chociaż trochę wody.

- I podziękuj za to Bogu - warknął. - Ktoś przypomniał ci, żeby zabrać ze sobą wodę?

- Zabrać? - odrzekła słabym głosem. - Powinnam... Nikt mi nie przypomniał! - W duchu wściekała się, gdyż ktoś powinien był to zrobić. Ty, Ryane Quinn - wtedy, kiedy miałeś po mnie wyjść na lotnisko! Ty jesteś za to odpowiedzialny. Zamiast przypomnieć mi o wszystkich rzeczach, siedziałeś sobie wygodnie w więzieniu drapiąc się... o rany, nie mogę go za to obwiniać. Drapanie. Wyczesywanie tego świństwa.

- Drogi panie, mówisz tak, jakbyśmy mieli do czynienia z najmroczniejszym zakątkiem Afryki!

- Bo mamy - uciał obserwując z przyjemnością jej wzburzenie.

- Ale... tam jest kurek. Ten statek ma wodę!

- Oczywiście, że tak - powiedział uprzejmie.

- Jesteśmy na obszarze słodkiej wody, którą wypompowują z Nilu. Może się poczęstujesz? Najpóźniej jutro doświadczysz Zemsty Faraona!

Mattie zerknęła na bok. Rzeka nie sprawiała już wrażenia rowu z nieczystościami, jak na terenie wokół Chartumu, ale nawet tutaj, w wiejskiej okolicy, woda chyba nie nadawała się do picia. Ale przecież Becky opowiedziała jej wszystko o afrykańskiej wodzie. Musi tylko napełnić filiżankę. Napełnić filiżankę?

- Zapewne... nie byłoby możliwe wypożyczenie skądś filiżanki? - zapytała z wahaniem.

- Akurat mam jedną przy sobie - zaofiarował się Harry.

Siedział odchylony do tyłu i obserwował potyczkę, a w kącikach jego ust czaił się uśmiech. Pogrzebał w plecaku i wyciągnął wysłużony, cynowy kubek, który był większy niż filiżanka do herbaty, ale ustępował rozmiarami dzbankowi do kawy. Kiedy Harry zobaczył minę Ryana Quinna, jeszcze bardziej rozszerzył usta w uśmiechu.

- Może mógłbym odstąpić z jedną albo dwie kanapki - ciągnął

łagodnie. - Co zamierzasz zrobić z tym kubkiem?

- Pić z niego - odparła z determinacją Mattie i wzięła naczynie.

- Hej, nie chcę wysyłać kondolencji twojemu ojcu - zawołał za nią Ryan. - W razie czego ty będziesz odpowiedzialna!

- Żebyś wiedział - mruknęła napełniając kubek i wrzuciła dwie tabletki oczyszczające. Kiedy rozpuściły się zupełnie, brudne cząstki osiadły na dnie kubka. Becky mówiła, że trzeba czekać piętnaście lat. Pragnienie Mattie wzrastało z minuty na minutę.

- Przestraszyłaś się? - szydził Ryan. - Poraził cię zdrowy rozsądek?

- Jasne - odrzekła spokojnie i wychyliła zawartość kubka tak, by nie burzyć osadu.

- Wariatka. Szaleństwo w czystej postaci. Właściwie mógłbym zacząć układać list do twojego ojca.

- Proszę bardzo - powiedziała słodkim głosem i odwróciła się do niego plecami.

- Włożyłaś tam coś, prawda? - zapytał łagodnie Harry.

- Owszem. - Zachichotała. - Jedna z moich trzech sióstr jest lekarką i odbyła praktykę w Czadzie. A jej mąż też jest lekarzem i chirurgiem wojskowym. Dali mi trochę magicznych tabletek. Nie wiem, co w nich jest, ale wystarczy wrzucić dwie do szklanki z brudną wodą, a zabijają wszystko, co się porusza, żyje, pływa, albo nawet myśli o sprawianiu kłopotów.

- Niech cię diabli! - warknął Ryan Quinn i poszedł sobie.

- Chyba naprawdę go zakasowałaś - zaśmiał się Harry. - Co powiesz na... hm, nie mówmy jakiego rodzaju kanapkę. Co prawda termin przydatności do spożycia upłynął pięć dni temu. Masz jeszcze jakąś pigułkę?

- Nie - odparła z uśmiechem - ale mam bardzo odporny żołądek. Jeżeli ty zjesz kanapkę, to ja też.

Oparli się o poręcz i rozkoszowali widokiem. Zmierzch trwał krótko, jak przystało na kraj w pobliżu równika, i szybko zapadła czarna noc. Poziom wody Nilu był znacznie niższy od brzegów

oczekującej na porę deszczową rzeki. Najpierw nadchodziły deszcze lokalne, potem padało całymi miesiącami w górach Ekwatorii, aż wreszcie ulewy przesunęły się nad równiny Sudanu.

- Gwiazdy wydają się tak blisko - szepnęła Mattie. Po zjedzeniu kanapki wyciągnęła się na rufie i spoglądała w niebo. - Czy widać księżyc?

- Pojawia się na niebie zgodnie z planem - poinformował ją Harry - ale żeby go wypatrzyć, potrzeba młodszego mężczyzny niż ja.

- Właśnie. Co się dzieje z tym „młodszym mężczyzną”.

- Trudno powiedzieć. Temu facetowi ciągle się śpieszy. Znam go od jakiegoś czasu. Pracuje tu dla różnych firm od sześciu czy siedmiu lat. Rozwiedziony. To musiało być niezłe piekielko - dostaje listy wyłącznie od jej prawników.

- Cóż, to już nie mój problem - oznajmiła. - Chyba nigdy nie spotkałam równie antypatycznego mężczyzny!

- Coś mi się wydaje, że jesteście ulepieni z tej samej gliny - zaśmiał się Harry.

Mattie uniosła brwi.

- Tak, słyszałam, jak jedna czy dwie osoby mówiły, że to prawda. Co nie oznacza, iż przyznaję im rację. Kto ci to powiedział?

- Nikt - odparł. - Po prostu mówię o tym, co widzę. Najadłaś się?

- W zupełności, ale strasznie chciałabym się wykąpać. Nie sądzisz, że mogłabym, ot tak, skoczyć za burtę? Nie płyniemy zbyt szybko, a jeżeli obiecasz, że będziesz patrzył w drugą stronę...

- Z podglądaniem nie byłoby żadnego kłopotu - odrzekł uroczyście - ale nie polecam kąpieli, chyba że któraś z twoich pastylek wystarczy, żeby oczyścić całą rzekę?

- Co znowu? Pirania czy jakiś krokodyl-ludożerca?

- Może znalazłby się krokodyl albo dwa - zastanawiał się głośno. - Chociaż one wolą spokojne wody. Nie. Problemem na Nilu, nawet tak daleko na południu, jest bilharcioza.

- Bil... co?

- Bilharcioza - powtórzył. - Motyllica wątrobowa. Śliczny mały pasożyt, który przeżera się do wnętrzości i już ich nie opuszcza. Ślepotą jest najpoważniejszą chorobą tropikalną w Egipcie, Sudanie i Ugandzie. W naszej kwaterze w Kosti mamy prysznic. Radziłbym, żebyś wstrzymała się z kąpaniem. Boże, ale jestem zmęczony! To był ciężki dzień.

- Zapomniałam o coś zapytać - powiedziała Mattie. - Są jakieś łóżka, hamaki?

- Nie na tym skrawku rzeki - odrzekł ze śmiechem. - Nie ma specjalnego zapotrzebowania na tego rodzaju usługi. Dlaczego nie pojechałaś koleją albo autobusem?

Z półmroku wyłonił się Ryan Quinn. Mathilda pomyślała, iż cały czas podsłuchiwał i usiłował ukryć ten fakt. A niech sobie wtyka nos w cudze sprawy!

- Nie mogłam. W agencji turystycznej pokazano mi mapę. Droga i linia kolejowa idą wzdłuż Nilu Błękitnego, a nie Nilu Białego. A potem trzeba się przesiąść w jakiejś miejscowości, chyba Sennar, żeby pokonać wzgórze prowadzące do Kosti. A rzeka na tej mapie biegnie niemal prosto. Powiedzieli mi, że mogę płynąć rzeką.

- Chwileczkę - przerwał Ryan. - Mówili po angielsku?

- Niezupełnie. - Zaśmiała się na wspomnienie tego, co się działo w małym, przepelnionym biurze. - To była jakaś mieszanina mojego okropnego arabskiego i ich okropnej angielszczyzny.

- I powiedzieli ci, że z Chartumu do Kosti można się dostać rzeką? - nalegał. Mattie zaczęło ogarniać rozdrażnienie.

- Oczywiście - ucięła, ale przyszła jej do głowy inna myśl. - No, może niezupełnie. Ja zapytałam mniej więcej tak: „Czy można popłynąć stąd rzeką do Kosti?” A oni stwierdzili, że tak.

Ryan wyszczerzył zęby w szyderym uśmiechu. Śmiał się nawet Harry.

- Co to znaczy? - zapytała ostrożnie.

- Och, to znaczy, że niezupełnie kłamali - zachichotał Ryan. - Właściwie możesz sobie spocząć, niebawem sama zobaczysz.

- Co zobaczę? - krzyknęła za nim. - Męczy mnie oglądanie jego pleców - mruknęła do siebie. - Znam go dopiero od kilku godzin, ale to jest dokładnie o trzy za dużo.

- Mam koc - zaofiarował się Harry. - W nocy robi się trochę zimno na rzece. Co prawda, temperatura nie obniża się tak strasznie, ale kontrast między dniem a nocą jest dosyć przykry. Chcesz?

- O, nie - odrzekła. - Nie chciałabym zabrać ci jedyne go koca. Poza tym znowu nadchodzi pan Przyjemniaczek. Z pewnością nas rozgrzeje.

Harry owinął się kocem i wyciągnął się na stalowym pokładzie. Ryan Quinn pogrzebał w plecaku i rozwinął śpiwór. Mattie wydawało się, że mówił do siebie w trakcie pracy. Tego wrażenia nie mogła chyba przypisać tylko niestrawności. Robiło się zimno. Podciągnęła kolana pod brodę i objęła je ramionami, żeby się rozgrzać.

Ryan Quinn pracował w ciemności sprawnie, jak człowiek, który przemyślał każdy ruch. Ma wdzięk, to muszę mu przyznać, pomyślała Mattie. Zgrabnie się porusza. Ale przecież lwy też chodzą w wdzięku, a z ich pysków zionie taki okropny smród!

- Czy w ten sposób zamierzasz spędzić noc? - zagadnął. Wokół nich zamierały hałasy i rozmowy. Zapłakało jakieś niemowlę i zaraz je uciszono. Łopatkami młóciły wodę w powolnym, niemal hipnotyzującym rytmie.

- Chyba tak - odrzekła. - Wybór wydaje się raczej ograniczony.

- Rzeczywiście. - To było pierwsze pojednawcze stwierdzenie, jakie od niego usłyszała. Jak gdyby czuł, iż pod osłoną ciemności może sobie pozwolić na przyjazny ton.

Przytaknęła szeptem, nie chcąc obudzić Harry'ego.

- Nie przejmuj się nim - powiedział Ryan. - Jak już zaśnie, nie przebudzi go stado pędzących słońi.

- O, właśnie - zauważyła. - Wiedziała, że coś tu jest nie tak. Powinno się powiedzieć: nie przebudziłoby go „stado bawołów”.

Wszystko, co tu słyszę, jest jakieś obce.

- Nie mam najmniejszego pojęcia, o czym mówisz - odrzekł potrząsając głową i przysuwając się do niej.
- Czyżby moje uszy były nie w porządku? Słyszysz coś obcego?
- Nie męcz się nad tym - powiedziała ze śmiechem.
- Wymyśliłam sobie to wyrażenie jakieś dwa lata temu.

Pamiętam, jak płynęliśmy z ojcem po Amazonce. Wtedy byłam o wiele młodsza...

Ryan odczekał chwilę, ale dalsze słowa nie padły.

- Tak, oczywiście. - Mówił uroczystym tonem, ale wydawało się, iż ma ochotę wybuchnąć śmiechem - przyjaznym śmiechem.

- Jaki on jest naprawdę? Przyjazny śmiech? Nie oszukuj się! Skoro szczeka jak pies, śmierdzi jak pies, gryzie jak pies, to najpewniej jest psem! Jasne?

- Posłuchaj - wyrwał ją z zadumy głos Ryana. - Nad ranem będzie o wiele zimniej. Mam tu podwójny śpiwór. Może skorzystasz z niego? Nie trzeba koniecznie się lubić, żeby leżeć w ciepłe.

- Nie, dziękuję - odparła z chłodną rezerwą. - Moja matka nie wychowała swoich córek na idiotki.

- Na pewno nie chcesz?

- Na pewno. - Jej stanowczy ton zniechęciłby Izbę Reprezentantów, ale na nim nie wywarł praktycznie żadnego wrażenia.

- Cóż, w każdym razie złożyłem ci propozycję - odrzekł Ryan. - Jeżeli zmienisz zdanie, pamiętaj, że nie znoszę w łóżku kobiet, które nie zdejmują butów.

- Niedoczekanie! - warknęła i odwróciła się do niego plecami. Na niebie pokazał się księżyc. Przelot dwóch gęsi widocznych na jego tle wywołał u niej dreszcz. Znowu wcisnęła się do kąta i liczyła ruchy pokładnicy, która obracała łopatkami. Pomimo zawirowań na wodzie wydawało się, że łódź stoi w miejscu. Przesuwał się jedynie ląd na obu brzegach ukazując wielką panoramę, którą namalował jakiś artysta przed tysiącami lat. Mattie zadrżała.

- Na miłość boską, tak szczękasz zębami, że nie możemy zasnąć
- poskarżył się leżący tuż obok niej Ryan.

- Nie musiałeś tu przychodzić - odcięła się, bliska łez. - Przy
otworze ładunkowym jest dosyć miejsca.

Mruknął coś i odwrócił się na bok. Popatrzyła na niego w blasku
księżycy. Doprawdy, nie musiał robić tych głupich uwag! Otarła
piąstkami łzy. Obiecała sobie, że kiedy wróci do Bostonu, postara
się, żeby go zwolniono. Albo nawet wyśle go do ich biura w
Cleveland! Tylko dlaczego płacze? Tęsknota za domem - w jej
wieku? Wyjeżdżała z domu setki razy. Oczywiście, cudownie byłoby
być tutaj z Mary-Kate. Ale czy to nie jest głupie? W takich
momentach dziewczyna potrzebuje ojca, a nie matki. Ale z
Mary-Kate tak swobodnie się rozmawia. Jest taka rozsądna! Co
zrobiłaby mama w takiej sytuacji?

Całym ciałem Mathildy wstrząsały dreszcze, które przebiegały
wzdłuż kręgosłupa. Usłyszała, jakby z oddali, czyjś szept. Właż do
śpiwora, kretynko. Cóż on może ci zrobić na odkrytym pokładzie,
pośród trzech setek ludzi? To chyba nie był głos jej macochy, ale kto
wie. Mary-Kate wywodziła się ze starego rodu czarownic z Salem.

Po dłuższym namyśle Mathilda przesunęła się po pokładzie i
odchyliła wierzch podwójnego śpiwora. Ryan leżał skulony w
jednym rogu. Wsunęła stopy w rozgrzane miejsce, a potem je
wyciągnęła. „Nie znoszę w łóżku kobiet, które nie zdejmują butów!”
Pociągnęła za sznurowadła i zdjęła ciężkie, sięgające do kostek
buciory, następnie przywiązała je do siebie. Przynajmniej tyle
wiedziała o obozowaniu w tropikach. Jeden but nie jest wart
złamanego szeląga. Lepiej już zgubić obydwą naraz, a ich związanie
utrudnia zadanie złodziejaszkom.

Włożyła buty i skarpetki do kieszeni śpiwora, po czym wsuwała
smukłe ciało coraz głębiej, by się ogrzać. Ryan poruszył się i Mattie
zamarła wstrzymując oddech. Po chwili odwrócił się do niej plecami.
Znowu zaczęła się powoli przesuwac. Rozkoszowała się ciepłem i
miękkością włókna, które chroniło jej kości przed kontaktem ze

stalowym pokładem.

Cały pośpiech i krzątanina - podróż samolotem, podniecenie, strach po przylocie, frustrujące zmagania z biurokracją, spotkania, które nie doszły do skutku - wszystko sprzysięgło się przeciw niej i sprawiło, że zamknęła oczy i odpłynęła w krainę snu. Zupełnie zapomniała, że tuż obok leży Ryan, że pieści wzrokiem jej złote włosy, które wydawały się srebrzyste w blasku księżyca. Spała tak głęboko, że prawie nie czuła, jak zwinął się przy jej plecach, potem zaś przesunął swą dużą dłoń i delikatnie objął miękką pierś dziewczyny. Po raz pierwszy miała podniecające, erotyczne sny, do jakich nie sprowokowali jej inni mężczyźni, których znała.

Rozbudziła się trochę w środku nocy, kiedy łopatki przestały się na chwilę obracać. Miała porozpinaną kurtkę, a dłoń Ryana dotykała jej obnażonej piersi. Przez chwilę czuła strach, ale tylko przez chwilę. Doznanie było kojące. Mówiła sobie, że to potrwa tylko chwilę. Ale ów moment rozciągnął się w czasie, a ona wkrótce zasnęła oddając mu w posiadanie pole bitwy.

ROZDZIAŁ DRUGI

Przebudziła ją muzyka. Z trudem otworzyła jedno oko, żeby zorientować się w sytuacji. Budzenie się nie należało do jej ulubionych zajęć. Na przednim pokładzie kilka osób uderzało w wielkie bębny, którym wtórowała atonalna pieśń wygrywana na piszczałce. Mattie słyszała też tupanie bosych stóp i śmiechy tancerzy.

Rozejrzała się uważnie. Zesztywniała jej nie tylko szyja, ale także plecy i nogi. Leżała w pustym śpiworze. Przez chwilę czuła strach. Szybko sięgnęła ręką do kurtki, by przekonać się, iż wszystkie guziki zostały zapięte - na pewno nie przez nią. A potem dobiegł ją zapach gorącej kawy.

- Chcesz, żeby cię poratować? - Ryan Quinn uklęknął obok niej trzymając w ręku garnuszek, z którego wylatywały kłęby pary. Gorąca czarna kawa. Usiadła i wzięła naczynie w obie ręce. Wydawało się jej, iż wiatr na rzece zupełnie ustał.

Powietrze było przesycone zapachami, lecz jej nozdrza drażniła wiosenna woń ziemi pomieszana z fetorem nawozu. Dopiero kiedy się rozejrzała dookoła, uświadomiła sobie najważniejszy fakt: łopatkami przestały się obracać!

- Gdzie jesteśmy? - zapytała łyknąwszy kawy.
- El Dżeteina - odpowiedział Ryan. Nie miała zamiaru się przyznać, iż ta nazwa nic jej nie mówi. Wypiła duży łyk i poparzyła sobie język.

- Dlaczego się zatrzymaliśmy?
- Trudno byłoby płynąć dalej w górę rzeki.

Wyteńczyła wzrok. W skąpym świetle z trudem dostrzegła jego twarz.

- To dlatego jesteś taki szczęśliwy?

- No, chyba - odciął się. - Wypij kawę, panienko. Musimy tu wysiąść.

- Ale ja kupiłam bilet do Kosti! - Mattie wysączyła napój i wygramoliła się ze śpiwora. Podeszła do poręczy i, jeszcze zaspana, patrzyła na rzekę. Mniej więcej w odległości pół mili widać było spienioną wodę wypływającą spod tamy, która blokowała rzekę.

- Co... - Zaczęła.

- Tama na Nilu Białym - odparł zjadliwym tonem.

- Ale w biurze turystyki powiedzieli mi, że...

- To znaczy ty im powiedziałaś! - warknął. - Typowa Amerykanka. Nie zapytałaś, tylko powiedziałaś!

Zaczął mówić drażniącym falsetem.

- „O, tak, można dostać się parowcem z Chartumu do Kosti”. Czy nie tak się wyrazili?

Mattie skinęła ponuro głową, gdyż nie należała do osób ukrywających swoje błędy.

- Okłamali mnie.

- O, nie, nie zrobili tego - odparł z chichotem. - Powiedzieli ci całkowitą prawdę. To jest możliwe. Tylko że masz czterodniową lukę w podróży. Chodź. Ciężarówki przewiozą nas obok tamy, a po drugiej stronie czeka następny parowiec.

Zanotowała w pamięci swój błąd: uczenie się na błędach stanowiło cechę Latimore'ów. Żałowała jedynie, iż musiała dostać nauczkę od tego zwalistego faceta, tego wstrętnego... osobnika! Ze złością pozbierała porzrzucony bagaż i poszła dumnym krokiem w stronę pomostu.

- Nie śpiesz się tak bardzo - powiedział Ryan, kiedy ją dogonił. Wyrwał jej z rąk walizki takim ruchem, jakby ważyły tyle co piórko.

- Uważaj, bo się potkniesz.

- Dziękuję - odparła. Starła się być maksymalnie odpychająca. A on chichotał aż do momentu, gdy znaleźli się na pokładzie parowca „Falaszi”, który do złudzenia przypominał łajbę „Hurrija”.

- Zdążyłem kupić dla nas trochę zapasów - powiedział Harry,

kiedy skupili się wokół pieca koksowego.

- Za chwilę zrobię jeszcze kawy, a potem najlepiej pójdziemy spać. Do Kosti prowadzi długa droga.

Mattie uśmiechnęła się do niego, a następnie podeszła do poręczy i zobaczyła wyniosłą tamę. Tam, gdzie statek zostawił za sobą spieniony ślad, kotłowały się mewy nurkujące w poszukiwaniu odpadków wyrzucanych za burtę. Mała świetlista obręcz zapowiadała wschód słońca i jeszcze większy upał. Mattie zamyśliła się głęboko i wówczas pojawił się obok niej Ryan.

- Kawa jest gotowa - oznajmił. - Przepraszam, jeżeli mogę poprawić ci tym samopoczucie.

- Za co? - zapytała przybierając stosowną, zaskoczoną minę. Pamiętała wszystko, ale postanowiła, że nie da tego po sobie poznać. Może wyrzuty sumienia korzystnie wpłyną na jego charakter!

- O... - mruknął. Przez chwilę panowała cisza. - Cóż, kiedy wgramoliłaś się do mojego...

- Jedyne ograniczenie, jakie narzuciłeś, dotyczyło zdjęcia butów - przerwała. - Zdjęłam buty. Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzałam?

- Czy przeszkadzałaś mi? Och, nie, oczywiście, że nie.

Mattie zachłysnęła się świeżym, przesyconym zapachami powietrzem. „Falaszi” nie płynął zbyt szybko. Wiatr tworzył na rzece małe fale, które uderzały o statek i natychmiast zanikały. Za kilwaterem podążało stado mew przypominające ogon latawca.

Ryan przykucnął obok Mattie, ściskając w dłoni naczynie z kawą. Jego nieprzystępna twarz nadal zdradzała napięcie. Ponura mina kojarzyła się z posągiem Faraona Ramzesa.

- Gdzie teraz jesteśmy? - Mattie usiłowała kontynuować rozmowę z Ryanem.

- Kordofan. - Wykonał nieznaczny ruch prawą ręką. - Jesteśmy mniej więcej w połowie drogi do Kosti. Powinniśmy tam zawinąć dziś wieczorem, przed dziewiątą lub dziesiątą.

- Kordofan? Czy to nie obszar, na którym rok temu panował taki straszny głód?

- Jeden z takich obszarów - mruknął. - Pod koniec suszy na tych terenach aż po same góry nie rosło nawet źdźbło trawy.

- A teraz?

- Mieli ostatnio pomyślny rok. W Sudanie jest dużo żywności i dużo osób, które nadal głodują. Rząd nie potrafi przeprowadzić sprawnej dystrybucji. W porcie stoi mnóstwo statków, które pęcznieją od żywności, a ludzie są głodni.

- Cóż, właśnie dlatego podjęliśmy się rozbudowy kolei. Gdyby dokonano jej w terminie...

- Powinnaś zapoznać się bliżej z naszymi kontraktami - powiedział szorstko. - Dokonać napraw i uruchomić kolej - taki jest ich sens. Naprawy przeprowadzono już dawno temu. Specjalizujesz się w kolejnictwie?

- Niezupełnie - odparła Mattie rozglądając się za swoimi butami. Patrzył na nią z aprobatą, kiedy ostrożnie odwracała najpierw jeden, a potem drugi but i uderzała nimi o pokład, by usunąć pełzających gości; dopiero wówczas włożyła je na nogi. Ale kiedy zorientował się, iż Mattie go obserwuje, natychmiast przestał się uśmiechać.

Dlaczego nie miałabym powiedzieć mu czegoś nieprzyjemnego, pomyślała w końcu.

- Nie lubi mnie pan, panie Quinn.

- A muszę? - zapytał obojętnym tonem. - Nie przypominam sobie takiego warunku w moim kontrakcie.

- Zechciałbyś podać mi powód?

- Nie.

- Co nie?

- Nie. Nie zechciałbym - uciął stanowczo. Powstał z wdziękiem i odszedł. Mattie dopiła kawę, zaszyła się w śpiworze i szybko zasnęła.

Obudziła się późnym popołudniem. Obok śpiwora stał Harry Crampton.

- Pełnię obowiązki strażnika. Chyba w ogóle nie miałaś zamiaru się budzić.

- Nie widziałam powodu, żeby to robić. Dlaczego trzeba mnie pilnować?

- Jesteśmy w kraju, gdzie przeciętny dochód na głowę wynosi niewiele ponad trzysta czterdzieści dolarów rocznie. Łatwo przywieść ludzi do kradzieży.

- My również ponosimy za to odpowiedzialność - dodał tubalnym basem Ryan.

- Nie zaczynaj, Ryan - powiedział Harry. - To nie Mattie wymyśliła ten system.

- Może i nie - odparł młodszy mężczyzna - ale popisywanie się złotymi pierścionkami, luksusowymi torebkami i ciuchami od Neimana i Marcusa w sytuacji, gdy ludzie ledwo zipią...

- Ledwo zipią? Słyszałam to już kiedyś w wulgarniejszej wersji. Pan sobie żartuje, panie Quinn! Byłoby lepiej, gdybyś nas o tym uprzedzał. Może uśmiechkiem, albo wysunięciem wargi, albo czymś podobnym?

- Boże - mruknął. - Dlaczego to mnie spotyka? Najpierw przysyłają mi nadzorcę, którego nie potrzebuję, potem okazuje się, że to kobieta, a na domiar złego - humorystka.

- Kara za uprzednią nierozwagę - odparła uroczy- tym tonem. - Albo w tym, albo w jakimś przeszłym życiu. Przechodził pan reinkarnację, panie Quinn. Simon Legree? Markiz de Sade? Drakula? To musiała być tego rodzaju postać. Ale nie wyglądasz na faceta, który nienawidzi kobiet!

Otworzyła szeroko oczy i patrzyła na niego z uśmiechem.

- A poza tym, ja się niczym nie popisywałam!

- Nie darzę nienawiścią prawdziwych kobiet, panno Latimore. W moim życiu jest dla nich miejsce.

- Ciekawe - mruknęła. - Przypuszczam, że w twoim łóżku.

- O, gdzie indziej też. Ale ty się do tych kobiet nie zaliczasz, Mattie.

Wymówił jej imię w taki sposób, jakby chciał powiedzieć: „Idź sobie i baw się swoimi lalkami na autostradzie, ty mały potworze!”

- Dlaczego?

- Z dwóch powodów - odrzekł chłodno. - Po pierwsze, lubię kobiety o obfitszej budowie.

- W takim razie będę ćwiczyła głębokie oddechy - odcięła się.

- A po drugie, lubię, kiedy moje kobiety czekają, aż się je poprosi.

- Twoje kobiety! - Mattie gwałtownie westchnęła, a potem przypomniały jej się słowa Mary-Kate. Osoba, która traci panowanie nad sobą w trakcie kłótni, przegrywa. Spokojnie. Nic nie działasz personalnymi docinkami!

Zmusiła się do promiennego uśmiechu.

- Przyszłe tygodnie zapowiadają się interesująco, panie Quinn. Oczywiście, pamiętasz, że jestem wiceprezesem firmy i że pracujesz dla mnie?

Spojrzał na nią i potrząsnął głową.

- Kobiety! - powiedział półgłosem, a głośniej dodał:

- Mój kontrakt wygasa za parę tygodni. To chyba dobrze dla nas obojga.

Chciała mu powiedzieć mnóstwo nieprzyjemnych rzeczy, ale odszedł.

- Zdaje się, że wasze stosunki nie układają się zbyt dobrze - powiedział Harry Crampton. - Przyniosłem ci coś na śniadanie.

- Rzeczywiście - westchnęła. - Nawet nie musi nic mówić. Już sam jego widok działa mi na nerwy. Co to jest? - zapytała przełknąwszy drugi kęs. Była zbyt głodna, żeby czekać na odpowiedź.

- Nazywają to chlebem na drogę - odrzekł. Przaśny chleb pieczony specjalnie po to, żeby go jeść w czasie podróży. Można go nadziać mięsem i sosem. Ja smaruję chleb olejem z oliwek - zgodnie z tutejszym zwyczajem.

- Smaczny - wymamrotała z pełną buzią. - Smakowałby mi

nawet kęs pieczonego Quinna! - Spłoszone spojrzenie Cramptona sprowadziło ją na ziemię. Był przecież lojalnym współpracownikiem Ryana Quinna.

- Nie twierdę, że jestem praktykującym kanibalem - dodała chichocząc. - Poza tym, on jest za twardy na moje zęby.

- Cieszę się, że to zauważyłaś. W tym regionie dowcipy o kanibalach nie cieszą się zbyt dużą popularnością!

- Jak długo znasz naszego pana Quinna?

- Nie pamiętam dokładnie. To już nasza trzecia wspólna praca w Afryce. Jest dobrym szefem, ale nie znosi, by mu rozkazywać. Znają go dobrze tutaj i w kilkunastu innych krajach. Przystojny z niego chłopiec.

- O ile lubi się taki typ urody - obruszyła się Mattie.

Popołudnie upłynęło szybko. Stopniowo pojawiały się brzegi wielkiego jeziora i znowu znaleźli się na rzece.

- W połowie następnego miesiąca, po nadejściu pory deszczowej, rzeka znowu zacznie przybierać - tłumaczył Harry. - Pod koniec sierpnia poziom wód będzie wyższy o jakieś siedem metrów niż teraz. Niedługo dopłyniemy do doliny Nilu Białego, który zalewa te obszary. Plemiona muzułmańskie ustąpią miejsca szczepom południowosudańskim - animistom i chrześcijanom. Im dalej na południe od Kosty, tym bliżej terenów wojennych.

- Wojna! Myślałam, że wojna się skończyła! - Mat-tie nie wzięła pod uwagę takiej ewentualności. Znała się na zarządzaniu i problemach inżynierii, ale wojna? Przypominała sobie opowieści na temat walk w Czadzie relacjonowane przez jej siostrę Becky.

- Wojna to poważna sprawa. O co oni walczą?

- O wolność - odrzekł Harry. - O zyski, władzę, religię, niezależność. Mimo wysiłków władz kolonialnych Sudan nigdy nie był zjednoczonym państwem. Zupełnie lekceważono granice plemienne, a przecież plemiona odgrywają zasadniczą rolę w Sudanie. Po obaleniu prezydenta Nimeiri nowy rząd nie dał obiecanej autonomii dla południa i sprowadził wojska libijskie w

charakterze sojuszników. Szczepy pasterskie - na przykład Dinka - zbuntowały się. Rząd utrzymuje władzę we wszystkich miastach; rebelianci zajęli wszystkie drogi lądowe i wodne. Słyszałem, że niedawno zestrzelili nad Malakal samolot rządowy. Co ty na to? W ciągu dekady przetrzucili się z włócznie na rakiety przeciwlotnicze. Przeraza mnie to wszystko, panienko.

W trakcie ich rozmowy zaszło słońce, a przed nimi, po obu stronach rzeki ukazały się światła. Harry pomógł Mattie wstać.

- Kosti - oznajmił uroczyście. - No, nie jest to specjalnie duże miasto i rzeczywiście lepiej wygląda nocą - nie widać całego tego brudu.

- Nie dbam o to, czy jest małe i zaniedbane. Chcę tylko wziąć gorący prysznic i znaleźć się na miękkim łóżku.

- Nie martw się - odparł ze śmiechem. - Mamy tam dobry hotel. Spodoba ci się.

- Mam nadzieję - powiedziała ostrzegawczym tonem i chwyciła za poręcz, gdyż „Falaszi” właśnie przybijał do przystani zwalając z nóg połowę pasażerów. Z ciemności wyłonił się Ryan Quinn. Bez słowa zarzucił torbę na ramię i skierował się ku kładce.

- Zanim zejdziemy na brzeg - zaczęła słodkim głosem Mattie - chcę ci podziękować za użyczenie mi śpiwora. - Była tak zadowolona z tego docinka, że nie dostrzegła jego szyderczego uśmiechu.

- Nie ma za co - Mattie - huknęła. - Możesz rozgościć się w moim łóżku, ilekroć nadarzy się okazja.

Mówił z wyraźnym sarkazmem i twarz Mattie poczerwieniała.

Odwróciła się do niego plecami i rzuciła mu przez ramię oziębłe „dziękuję”. Wszystko potoczyłoby się dobrze, gdyby nie fakt, iż statek przycumowano w odległości półtora metra od przystani, a kładka miała szerokość zaledwie jednego metra. Tuż za zdenerwowaną Mattie wszedł na deskę ten wielki mężczyzna. Kładka zadygotała pod jego ciężarem i Mattie przechyliła się na bok, a jej stopa zawisła nad wodą. Pisnęła ze strachu, lecz zanim zdążyła stracić równowagę, mężczyzna chwycił ją za łokieć i przesunął na

środek deski.

Mattie kołysała się przez chwilę usiłując nie wpaść w jego ramiona. Była wściekła. Nie groziłby jej upadek, gdyby on nie wszedł na tę deskę. Więc to wszystko jego wina! Narastający gniew sprawił, że wyszarpnęła się z uścisku mężczyzny, kiedy tylko poczuła twardy grunt pod nogami. Nie powiedziała ani słowa, ale zobaczył jej twarz w świetle reflektorów i szybko się od niej odsunął.

Przy wejściu na przystań czekał na nich stary, zakurzony jeep. Harry zrobił przeproszącą minę.

- To ja odpowiadam za remonty pojazdów - przyznał.

- Według mnie wygląda znośnie - pocieszyła go Mattie. -

Wystarczy, że jeździ. Poza tym na masce ułożył się bardzo interesujący wzór z piasku.

Mattie zajęła fotel na przedzie myśląc, że Quinn usiądzie z tyłu. Ale on zasiadł za kierownicą i popatrzył na nią wyzywająco. Gniew walczył w Mattie z wyuczoną grzecznością. W końcu wgramoliła się na tylne siedzenie, żeby starszy od nich Harry mógł usiąść w wygodnym fotelu.

- Dziękuję ci, Mattie - powiedział. - W moim wieku przestają już pociągać tylne siedzenia, na których można sobie pogruchotać kości.

Zatrzymali się przy wjeździe na most. W świetle latarni Mattie widziała kilkanaście parowców. Wszystkie były znacznie bardziej okazałe niż „Falaszi”.

Harry spojrział w tym samym kierunku.

- Od miesiący żaden statek nie popłynął na południe - krzyknął do niej. - Kiedyś można było przebyć drogę od Kosty aż do Dżuby, tysiąc mil na południe, teraz to niemożliwe. Rebelianci kontrolują przejście rzeczne. Nic się nie wymknie.

Tymczasem dwóch żołnierzy sprawdzało ich pozwolenia na podróż. Powiedzieli coś po arabsku, ale Ryan zgasił ich paroma zjadliwymi słowami, których Mattie nie znała ze szkoły. Strażnicy niechętnie dali jeepowi prawo przejazdu.

- Ten most wykonała firma Latimore. Zaprojektowano go dla pociągów, ale w razie potrzeby mogą przejeżdżać nim samochody, powozy i karawany wielbłądów. Trzeci most w tym miejscu w ciągu dziesięciu lat.

- Co się stało z innymi? - odrzyknęła.

- Wyszadzono je. To ofiary wojny! Dlatego właśnie wojska zostały odcięte.

Wszędzie wokół nich porozrzucane były tory kolejowe, na których stały wagony towarowe i zbiorniki.

- To ma być dworzec kolejowy? - wykrzyknęła Mattie.

- Musieliśmy zbudować go tutaj - odparł Harry.

- Nie możemy pchnąć tych lokomotyw do przodu - a do tyłu nie pojedą!

- Muszę się tym zająć - mruknęła. Ryan miał z pewnością dobry słuch, skoro, mimo turkotu samochodu i świszczącego wiatru, zaniósł się śmiechem.

Obóz Latimore'ów znajdował się kilkaset metrów za mostem. Na kwadratowym obszarze stały szeregi komfortowych baraków i domków, a otaczał go pusty oświetlony teren, ogrodzony drutem kolczastym. Strażnikiem przy bramie był wysoki, nagi, czarny jak smoła Nubijczyk, uzbrojony w tradycyjną włócznię. Ryan zamienił z nim parę słów w nie znanym Mattie dialekcie. Po chwili zaparkował wóz przed budynkiem kwatery głównej.

Oczekiwało ich tam dwóch ludzi. Jeden z nich - arabski Sudańczyk - zszedł ze schodów z uśmiechem na twarzy.

- Ahmed bin Raszid - przedstawił się odsłaniając w uśmiechu wspaniałe białe zęby. Mattie wyciągnęła rękę.

- Mathilda Latimore - powiedziała z promienną miną. - Salem alejkum.

- Ach! Mówisz językiem islamu! - Jego okrągła twarz o oliwkowej cerze rozjaśniła się.

- Znam tylko parę słów - zaprotestowała. Miał zaraźliwy śmiech i był dosyć przystojny, ale Ryan natychmiast ochłodził jej

entuzjazm.

- Ahmed jest przedstawicielem rządu.

Nie trzeba było niczego dodawać. Mattie pracowała na wielu kontraktach za granicą, gdzie wyrażenie „przedstawiciel rządu” oznaczało szpiega, tajną policję, a często specjalistę od wymuszania okupu. Z trudem wyrwała rękę z jego uścisku.

Szła po schodach ze spuszczoną głową. Nagle rozmowa za jej plecami ucichła. Po chwili rozległ się rozwścieczony głos Ryana Quinna.

- Virginia, co ty tu u diabła, robisz?

Mattie szybko odwróciła głowę. W świetle widać było szczupłą, ładnie zbudowaną kobietę w sukni wieczorowej z najlepszego jedwabiu. Złoty kolor jej fałd uwydatniał biust i biodra. Ciemne włosy były upięte bardzo wysoko i odsłaniały chudą twarz. Z jednego ucha zwisał długi, cienki, złoty kolczyk. Nie była piękną kobietą, ale miała urodę i władcą minę. Uśmiechała się, choć w oku lśniła łza.

Weszli do budynku - najpierw Ryan, potem Harry, na końcu Mattie z Ahmedem, który niemal jej nie odstępował. Ryan poszedł prosto do barku, nalał sobie podwójną czystą whisky i wypił ją jednym haustem. Mattie obserwowała go niczym jastrząb, kiedy się obrócił, miał obojętną minę. Zwalczył w sobie straszliwy gniew i zdobył się nawet na uśmiezek.

- Harry, panno Latimore, Ahmed - pozwólcie, że wam przedstawię moją żonę. To znaczy moją byłą żonę Virginie.

- Dobry Boże! - mruknął Harry i również poszedł się napić. Virginia Quinn stała nieruchomo przez parę kolejnych sekund, a potem wydała z siebie na wpół zwycięski, na wpół rozpaczliwy krzyk, pobięła ku Ryanowi i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Och, Ryan! - jęknęła.

- Harry - zawołała Mattie. - Zaraz umrę z głodu i pragnienia, i muszę wziąć prysznic. A poza tym myślę, że nas troje to naprawdę za dużo.

Opuściła pokój z dwoma szarmanckimi mężczyznami, usiłując nie oglądać się za siebie. Czuła się fatalnie. Bolał ją żołądek. Pewnie zjadła coś niewłaściwego, a może to skutek niejedzenia. Ale to nie miało nic wspólnego z Ryanem Quinnem!

- Za tymi czerwonymi drzwiami jest ustęp - wyjaśnił Harry. - Może się umyjesz? A ja spróbuję coś wykombinować i świsnę skądś talerze kanapek. Kucharza nie będzie aż do rana.

- Czy to znaczy, że tak okropnie wyglądam?

- Ależ nie - zaprzeczył gorliwie Ahmed. - Jesteś trochę rozczochrana, ale twoje prawdziwe „ja” nadal przebłyskuje.

- Mam nadzieję, że nie - odparła z uśmiechem Mattie. - W rzeczywistości przypominam raczej czarownicę niż śpiącą królową.

Jedno spojrzenie w lustro potwierdziło najgorsze obawy Mattie. Potargane włosy wyglądały jak gniazdko dla rodziny polnych myszy. Przydałby się kominarz, żeby oczyścić twarz z sadzy, którą wytwarzał krzywy komin na pokładzie „Falaszi”. Spódnica przekręciła się na bok, a kurtka wzbudziłaby potępienie w Bostonie. Mattie wzruszyła ramionami, zdjęła ubranie i napełniła miskę gorącą wodą.

Po piętnastu minutach było już lepiej. Zrobiła porządek z włosami, które opadały teraz równomiernie na ramiona. Podkręciła je trochę z przodu za pomocą czystego grzebienia, który znalazła w jednej z szafek. Wytarła spódnice gąbką i poprawiła ją na sobie. Twarz zaróżowiła się od szorowania, ale była czysta. Jedyne z kurtką nie dało się niczego zrobić. Była wymięta, brudna i przepełniona. Musiała ją jednak nałożyć, gdyż nie miała niczego innego pod spodem.

Kiedy wróciła do sali, Ahmed szybko wstał od stołu i posadził ją na krześle. Harry podniósł się, mrugnął do niej i opadł na siedzenie. Na środku stołu stał talerz z kanapkami.

- Piwa? - zaproponował Harry.

- Myślałam, że nie zapytasz o to - odparła z chichotem. - Co jest między tymi kawałkami chleba?

- Różne rodzaje mięsa - wyjaśnił. - Polubisz je. - Żeby przekonać ją o prawdziwości tych słów, wziął kanapkę z samego wierzchu i zaczął ją jeść. Nieco wybredniejszy Ahmed przełamał kanapkę na pół i odgryzał małe kęsy.

Mattie była tak głodna, że błyskawicznie pochłonęła kanapkę, zapijając ją piwem.

- Nie ma szklanek dla dam - zaczęła ich drażnić.

- Dotychczas nie było tu dam - oznajmił smutnym tonem Harry.

- A teraz mamy trochę kłopotów z dwiema.

- Nie jest tak źle - odparła. Ja... co ustaliliśmy na dzisiejszy wieczór?

- Mamy bungalow przeznaczony dla pań. Nigdy go nie wykorzystaliśmy. Posłałem człowieka, żeby go sprawdził. Spędzisz noc wygodnie.

- Dzięki Bogu! - westchnęła Mattie. - Ta kanapka jest dobra. Czy to mięso jagnięcia?

- Blisko, całkiem blisko - ucieszył się Ahmed. W jego piskliwym śmiechu wyczuwało się okrucieństwo. Mattie pomyślała, że nie podoba jej się ten mężczyzna. Odwróciła od niego głowę.

- Jak blisko, Harry?

- No dobrze. Młody wielbłąd. To miejscowy przysmak.

Większość wielbłądów pędzi się do Egiptu i sprzedaje po atrakcyjnych cenach. Podobnie było kiedyś z przeganiem bydła w Ameryce - zwierzęta odbywały długą drogę do rzeźni.

- W Sudanie nie ma wołowiny?

- Nie mów tutaj na ten temat - odparł szorstko Ahmed. - Rząd centralny ma mnóstwo kłopotów z bydłem!

- Co ja złego powiedziałam? Boże drogi, za każdym razem, gdy otwieram usta, popełniam jakiś nietakt!

- Nie przejmuj się - poradził Harry sięgając po kolejną kanapkę.

- W tym kraju jest dużo wołowiny, ale dla szczepów stanowi ona miarę zamożności. Krowy jada się tylko podczas specjalnego festiwalu, albo wtedy, gdy są tak stare, że do niczego się nie nadają.

- Święte krowy, jak w Indiach?

- Nie. Oni traktują bydło jak pieniądź. Bydło stanowi jednostkę wymiany. Stado jest kontem bankowym mężczyzny. Nie zjada się dziesięciodolarowych banknotów, prawda? Toteż członkowie szczepów nie zjadają swego bydła. Chyba że muszą.

- No no. Przed przyjazdem zapoznałam się z sytuacją w tym kraju, ale na ostatniej odprawie powiedziano mi same nieprawdziwe rzeczy.

Z trudem stłumiła ziewnięcie.

- Na mnie chyba już czas. Może ktoś pokaże mi drogę do tego domku dla nowożeńców? Wezmę ze sobą parę kanapek, a może jeszcze butelkę piwa.

Ahmed zabrał jedzenie i udał się z nią do bungalowu, który mieścił się obok budynku administracji. Drzwi nie były zamknięte. Zaprowadził Mattie do pokoju i położył kanapki na stole.

- Jeden natrysk, jedna kuchnia, jedna sypialnia. - Otwierał kolejne drzwi. Sypialnia była dosyć obszerna i stały w niej dwa łóżka.

- Dziękuję. - Starła się grzecznie zachęcić go do wyjścia, ale on nie wykazywał dobrej woli.

- Czego chcesz? - warknęła w końcu.

- Czego chcę? - odparł ze śmiechem. - Ślicznej dziewczyny, księżycowej nocy? Chcę dzielić z tobą *nakhadda*, brązowa gołąbeczko. - Podszedł do niej łagodnie się uśmiechając.

Mattie miała dosyć tej sytuacji. Gdy znalazł się kilka centymetrów od niej, uderzyła go prawą pięścią w splot słoneczny. Uśmiech zniknął z jego twarzy. Stęknął i zgiął się wpół zakrywając rękami obolałe miejsce.

- Słuchaj no, szejku! - powiedziała ponuro Mattie.

- Ja nie dzielę mojej poduszki z nikim. *Imshi!* Wynoś się!

Ahmed podszedł chwiejnym krokiem do drzwi, które otworzyła. Pomogła mu solidnym szturchańcem, wskutek czego Sudanczyk wpadł na ukrytą w cieniu postać mężczyzny, który stał przed

domem.

- Miałaś mały kłopot, co? - zapytał uprzejmie Ryan Quinn.
- Dobry Boże, on się uśmiecha. Pierwszy raz! Oczywiście obejmuje ramieniem żonę. Pogodzili się, dumiała Mattie.
- Jakoś dałam sobie radę - odrzekła półgłosem. - Chcę się wyspać. Czego chcesz?
- Nie jesteś specjalnie gościnna - zauważył. - Rzeczywiście, łatwo wpadasz w złość.
- Co... ty... - zaczęła z wściekłością. - Powinnam...
- Hej, poddaję się! Słyszałem, jak mówił to twój ojciec podczas rodzinnego obiadu. Ty akurat wyjechałaś, a on opisywał członków rodziny.
- Tak? Śmieszne, że o tym wspominasz - odcięła się. - A co powiedziała moja matka?
- Rzucił jej figlarne spojrzenie.
- Wiesz, nie zwróciłem na to uwagi. I nikt nie mówił, że jesteś kobietą. Wszyscy stwierdzali tylko: Mattie to, Mattie owo. Twoja matka - ta mała pani?
- Tak, ta mała pani.
- Powiedziała coś w tym rodzaju: „Daj spokój, Bruce” i twój ojciec zmienił temat.
- Rzeczywiście, mogłeś usłyszeć coś takiego - przyznała Mattie.
- Czego ode mnie chcesz?
- Właściwie to niczego. Ale ponieważ mamy tylko jeden bungalow dla kobiet, będziesz musiała zamieszkać w nim razem z Virginią, dopóki czegoś nie wymyślę!
- Mattie opadła szczęka. Patrzyła, jak całują się przed wejściem do domu. Nie był to namiętny pocałunek, ale mógł im dawać wiele satysfakcji. Dlaczego po prostu nie pójdzie z tą kobietą do łóżka? - pomyślała Mattie.
- Ale Ryan nie rozwiał jej wątpliwości. Poklepał swą byłą żonę po ramieniu i wyszedł. Mijając Mattie wziął ją pod brodę i wybuchnął śmiechem.

- Dobranoc, szefowo - powiedział szyderczo i odszedł, nim zdążyła wymyśleć stosowną odpowiedź.

RRS

ROZDZIAŁ TRZECI

S potkanie odbyło się w dużej sali konferencyjnej, w dwa dni po przybyciu do Kosty. W tym okresie Mattie przeważnie spała, gdyż jej organizm nie przestawił się jeszcze na czas sudański, a dzielenie bungalowu z Virginią Quinn okazało się niezbyt przyjemne.

- Wiecznie narzeka - szepnęła do siedzącego obok niej Harry'ego. - Jak myślisz, co ją tu, u diabła, sprowadziło?
- Pieniądze. Ciągnęła z niego przez lata i teraz chce jeszcze więcej.
- Na dziecko?
- Nie mają dzieci. Na co narzeka?

Mattie wzruszyła ramionami. Poprzedniego wieczoru siedziała w saloniku i przeglądała magazyn „Newsweek” sprzed pół roku, kiedy do bungalowu weszła z hukiem Virginia Quinn. Przemierzyła pokój z zaciśniętymi pięściami i zatrzymała się przed Mattie. Drobna, krucha brunetka miała łzy w oczach.

- Jesteś jego szefową - oskarżyła Mattie.
- W pewnym sensie tak. Jestem wiceprezesem korporacji. Ale jeśli chodzi o przedsięwzięcia w Afryce, Ryan sam sobie rozkazuje.
- Ryan? Kręcicie ze sobą, prawda? - Głos brunetki stał się przeraźliwie piskliwy. - Ty chcesz mojego męża!

Uderzała pięściami w stół w histerycznym rytmie. Boże, zamknęli mnie z psychopatką - pomyślała Mattie.

- Po pierwsze, zdaje się, że jesteście rozwiedzeni - powiedziała łagodnie. - Po drugie, nie chciałabym być z tym gorylem, nawet gdyby mi go dawali za bony premiowe!
- Mnie nie oszukasz! - wrzasnęła Virginia. - Wiem, że wy, kobiety, uganiacie się za Ryanem! Nie ma po co. On jest mój. Ten

człowiek to niemoralny łajdak, ale jest mój.

- Nie wierzę, że pan Quinn jest łajdakiem - zaprotestowała Mattie. - Na pewno życie z nim musi być ciężkie, ale...

- Co ty tam wiesz! - prychnęła Virginia. - Słyszałam, że byłaś w czepku urodzona. Co ty możesz wiedzieć, na przykład o grzebaniu w kupie śmieci?

Mattie westchnęła.

- Czy mogę w czymś pomóc?

- Oprócz tego, że będziesz się trzymała od niego z dala? Tak jest, coś co możesz zrobić dla nas dwojga. Podrzyj jego kontrakt i ułóż nowy. Z podwójną stawką. Z pewnością na nią zasługuje, a ja gwałtownie potrzebuję pieniędzy!

- To nie ode mnie zależy. Trzeba by było zwołać zebranie zarządu. Mogę dać znać ojcu, jeśli myślisz, że to pomoże.

- Boże, rzygać mi się chce przez tych pocziwych ludzi!

Virginia weszła z hałasem do sypialni, a po chwili po małym domku rozniósł się zapach whisky. Mattie nie współczuła ludziom, którzy znajdowali pocieszenie w butelce.

Uczestnicy zebrania, którzy wchodzili pojedynczo do pokoju, rozglądali się za tą „kobietą-szefem”, która miała przewrócić wszystko do góry nogami. Otwierali szeroko oczy widząc „dziecko” Latimore'ów, udawali, że jej nie dostrzegają, i natychmiast szukali takiego miejsca przy stole, gdzie nie zwracaliby na siebie uwagi.

Nagle na krześle po jej prawej stronie usiadł Ryan Quinn.

Przechylił się ku niej i szepnął:

- Musisz być ostrożna. Rozumiem twój kłopot, ale zeszłej nocy dokonałaś niebezpiecznej rzeczy.

- Niebezpiecznej? O co chodzi?

- O młodego Ahmeda. Ta historia rozniosła się po okolicy.

Stracił twarz, a dla pracownika rządowego to coś bardzo złego.

- Stracił twarz? - parsknęła. - Co miałam zrobić? Położyć się i dać się zgwałcić?

- Nie potrafię nic na to odpowiedzieć. Ale musisz wiedzieć, że

młody Ahmed reprezentuje w Kosti władzę rządową i ma poparcie żołnierzy. Wąż też jest niebezpieczny, kiedy się go drażni, a ty podrażniłaś go w najgorszy sposób. Sudańscy wojownicy mają kręćka na punkcie męskości.

- Co mi proponujesz? - zapytała zimnym tonem Mattie. - Mam uciekać do domu, do tatusia?

- Muszę przyznać, panno Latimore, że nie brak ci śmiałości - powiedział nieznacznie się uśmiechając. Jego komplement zdumiał Mattie tak bardzo, że wstrzymała oddech. Ale on szybko przekuł ten balon: - To znaczy, jak na kobietę. Ucieczka nie jest takim głupim pomysłem. Mogę cię wsadzić do pociągu dziś wieczorem. Chcesz?

- Nie, nie chcę - warknęła. - Latimore'owie nie nie uciekają. Mam zamiar wykonać swoje zadanie, panie Quinn. Poza tym za nic na świecie nie mogłabym odmówić sobie przyjemności mieszkania z twoją żoną. Opowiada rozkoszne historie!

- Niech cię diabli! - Odsunął się od niej i zapukał w stół. Zapadła cisza. Mattie widziała jego zaczerwienione od gniewu policzki i żyłę pulsującą gwałtownie na szyi. Przyszła jej do głowy szalona myśl, że powinna jej dotknąć, ale ten chwilowy obłęd szybko ustąpił.

- George, zacznij od wyjaśnienia sytuacji - nakazał Ryan.

- Linia kolejowa idzie wzdłuż drogi - powiedział młody człowiek pokazując obiekty na mapie. - Od Kosti do El Obeid, a stamtąd przez góry dochodzi do prowincji Darfur, na granicy z Czadem. Zauważmy więc, że kolej oddziela plemiona Masakin na południu i arabskie plemiona Kababisz na północy.

Po dwudziestu minutach Mattie miała dosyć jego wykładu i stuknęła pięścią w stół.

- Panie... - zaczęła.

- Jensen - dopowiedział ochoczo Ryan. - Z naszego działu eksploatacji.

- Panie Jensen. Obawiam się, że podaje pan zbyt dużo informacji na temat tej kolei. Proszę przejść do meritum.

Inżynier spojrział z nadzieją na Ryana, lecz nie znalazł poparcia i

omal zakrztusił się pijąc wodę.

- Dobrze. Naszym pierwszym problemem była wymiana siedemnastu przepustów, które zostały zniszczone przez zeszłoroczne wylewy. Te tutaj ciągle są zepsute - pokazał na mapie.

- Panie Jensen, naprawa trzech przepustów na pewno nie zajęłaby wiele czasu. Mógłby pan przydzielić do niej ekipy i podwoić ilość godzin pracy.

Jensen spojrzał pytająco na Ryana. Mattie zauważyła kątem oka, że Quinn skinął głową.

- Robiliśmy to trzykrotnie - powiedział ponuro Jensen i Mattie poczuła zimny dreszcz na plecach. Trzy razy? To mogło oznaczać tylko...

- Sabotaż? - zapytała z powagą.

- Sabotaż.

Od stołu powstał kolejny mężczyzna.

- Wszyscy nasi inżynierowie odmówili przemieszczenia lokomotyw za Er Rahad - powiedział. - Właściwie to połowa z nich zrezygnowała motywując wyjazd ciężką chorobą. Reszta ociąga się z pracami. Nie wysłaliśmy pociągu na zachód od dwunastu dni.

- Ale żołnierze... - argumentowała Mattie. Spotkała się ze śmiechem.

- Wciąż nic nie rozumiesz - powiedział z powagą Ryan. - Żołnierze nie będą chronić ani kolei, ani nas. Są tu po to, by rządzić w Kosti, zbierać podatki i kontrolować korupcję w mieście. Nie ruszą się ze swoich obozów. Ma pani jeszcze jakieś pytania, panno wiceprezes?

- Tak, kilka. Po pierwsze, kto to wszystko robi?

- Pytanie jest łatwe - odrzekł Jensen. - Młodzi wojownicy Masakin. Wyrwali się spod kontroli starszyny.

- Drugie pytanie musi brzmieć: dlaczego?

- Nie ma sensu odrywać tych ludzi od pracy - przerwał jej Ryan.

- Przejdźmy się po okolicy i porozmawiajmy na ten temat.

- Moglibyśmy równie dobrze porozmawiać tutaj - warknęła.

- Tak, ale w jeepie mamy przynajmniej pewność, że nikt nas nie podsłucha.

Ryan zatrzymał jeepa na szczycie wzgórza i zgasił silnik. Powietrze było gęste i gorące, temperatura nie schodziła poniżej pięćdziesięciu stopni Celsjusza.

- Można byłoby jeść to powietrze łyżką - skarżyła się Mattie zeskakując z siedzenia. Miała teraz na sobie kapelusz z szerokim rondem. Kurtka w stylu safari ustąpiła miejsca prostej, bawełnianej, białej bluzie z wysokim kołnierzem i długimi rękawami. Pod bluzą Mattie nosiła luźny bawełniany stanik - również białego koloru.

- Nie zakładaj ciasnych ubrań - nalegał Ryan. - Zostawiaj miejsce dla swobodnego przepływu powietrza, ale nie odsłaniaj skóry. Musisz się wystrzegać insektów. A biały kolor najlepiej odbija słońce. Nie zauważyłaś, że większość tubylców nosi białą odzież?

- Myślałam, że to po prostu ulubiony kolor, albo kwestia religii. Skompletowała całą garderobę, włącznie z sześcioma kolorowymi okryciami diszdasz, czyli prostymi, ale mocniej wyciętymi odmianami džellaby.

- Są zrobione z sudańskiej bawełny - wyjaśnił Ryan - w sudańskich zakładach odzieżowych, ale według wzorów z Jemenu. Dlaczego kupiłaś ich tak dużo?

- Mam trzy siostry i matkę, która uwielbia prezenty.

- W rodzinie są tylko dziewczęta?

- O Boże, nie - odparła ze śmiechem. - Michael ma teraz dwanaście lat. Jest rodzinnym oczkiem w głowie.

- Chce ci się pić? - Wręczył jej dużą menażkę.

- Jasne - odrzekła, ale kiedy przytknęła ją do ust, przypomniała sobie rady Becky i wypiła tylko kilka łyków. Ryan wyszczerzył zęby w uśmiechu, jak gdyby zdała kolejny test i wreszcie zrobiła coś właściwego.

- Wiesz, nie tylko nie brakuje ci odwagi, ale nawet nie jesteś taka głupia, jak myślałem- oświadczył.

- Och, strasznie ci dziękuję - odcięła się.

- Hej, nie chciałem ci dogryźć. To miał być komplement, naprawdę. Wyszedłem z wprawy, jeśli chodzi o dobre towarzystwo.
- Jak długo przebywasz w Afryce? - zapytała.
- Będzie jakieś sześć lat.
- Gdzie masz dom? Ile razy tam byłeś w ciągu tych sześciu lat?
- Uparciuch z ciebie. Mój dom jest w Vernon, w stanie Teksas, ale nie pojawiłem się tam ani razu. Na wakacje wyjeżdżam do Dakaru, Kairu, Istambułu - do tego rodzaju miejsc.
- Tak długi okres może mieć zły wpływ na człowieka - powiedziała ze współczuciem.
- Czy to oznacza, że przyjmujesz moje przeprosiny?
- Jeżeli to były przeprosiny, oczywiście przyjmuję je. Ale nie musiałeś ich składać. Jesteśmy współpracownikami, a nie ludźmi z eleganckiego świata. Miałaś mi powiedzieć coś poufnego. Dlaczego nie moglibyśmy porozmawiać w obozie?
- Ściany w obozie mają uszy. Zazwyczaj potrzeba około dziesięciu minut, żeby rząd dowiedział się o naszych decyzjach, a w ciągu następnych dziesięciu minut wie o nich każdy handlarz w Kosti. Ciężko jest prowadzić interesy w takich warunkach.
- Nie możecie wyrzucić szpiegów?
- Nie ma szans - potrząsnął głową z obrzydzeniem. - Wszystkich służących dostarcza rząd. Nie możemy ich zwolnić, a oni wiedzą, dla kogo pracują. Wynajmujemy na własną rękę jedynie strażników obozowych. Mamy tu członków szczepów Nuba i Nuer.
- W porządku - powiedziała pogodnie Mattie.
- Jesteśmy więc sami, chyba że ten sęp w górze trzyma kamerę. O czym chciałaś ze mną mówić?
- O wszystkim. O kolei, o eksploatacji, o korupcji, o rządzie.
- W takim razie usiądę sobie. No, to mów. - Mattie znowu wgramoliła się do jeepa.
- Po pierwsze, faktem jest, iż plemiona Masakin niszczą tory kolejowe - zaczął Ryan. - To nie ulega wątpliwości. Jednakże nie przyznajemy się do budowy kolei i drogi w północnej części ich

pastewnych ziem. Prace budowlane uniemożliwiają tym szczepom wypasanie bydła, a jednocześnie sprawiają, że członkowie muzułmańskiego plemienia Kababisz mają więcej pastwisk. Być może nie wiesz, że rząd Sudanu składa się głównie z muzułmanów. Nie ma w nim zbyt wielu reprezentantów czarnych szczepów. Jak dotąd, wszystko jasne?

- Dosyć proste. Czy to wstęp do zagadki? Popatrzył na nią w zamyśleniu i wyciągnął fajkę oraz tytoń.

- Sprawa robi się bardziej skomplikowana - ciągnął. - Każdy szczep ma przydzielony niewielki oddział muzułmańskich żołnierzy. Te małe jednostki próbują podporządkować sobie czarną ludność, podobnie jak Ahmed dąży do kontroli nad Kosti. Ale nie tylko ten czynnik drażni szczep Masakin. Na południowym obszarze plemienia Nuba żyją Nuerzy. Pozwól, że zrobię rysunek. Popatrz: na północy muzułmanie ze szczepu Kababisz, którzy dysponują częścią pastwisk Masakinów. Szczep Masakin pośrodku, niezdolny do wypasu bydła z powodu kolei i nękany przez wojska rządowe. A tu, na południu

- Nuerzy. Duża firma odkryła na ich terenach ropę. Nuerzy nadal mierzą bogactwo liczbą sztuk bydła, ale pracują również dla tej firmy i mogą sobie pozwolić na zakup większej ilości zwierząt. Skoro mają więcej bydła, muszą znaleźć pastwiska, toteż prą na północ, na tereny Masakinów.

- A my zbudowaliśmy kolej - westchnęła Mattie. - Dobry Boże, co nam przyszło do głowy?

- Tego grzechu nie popełniliśmy - odparł ze śmiechem Ryan. - Nie zbudowaliśmy kolei, tylko ją naprawiliśmy! Co o tym myślisz?

- Co myślę... - wyszczerzyła zęby w uśmiechu. - Nie sądzisz, że moglibyśmy zbudować tratwy i wysłać całą ekipę Latimore'ów rzeką do Egiptu?

Rzucił jej zdumione spojrzenie i wydawał się w tym momencie naprawdę ludzką istotą. Chwycił ją za rękę i śmiała się.

- Nasza rodzina jest znana z głupiego poczucia humoru - tłumaczyła, ale on nie słuchał. Patrzył na jej rękę w swojej dłoni w

taki sposób, jakby ktoś dotknął go po raz pierwszy od wielu lat.

- Tak naprawdę to chciałam powiedzieć, że musimy w jakiś sposób skontaktować się z przywódcami szczepu Masakin. Mówiłeś, że młodzi wojownicy uwolnili się spod kontroli starszyny.

- Może tak, a może nie - odrzekł trzymając ją za rękę. - Ci ludzie są prymitywni, ale na pewno nie głupi. Niewykluczone, iż stoi za tym Artafi i jego rada.

- Artafi?

- Tak. Stary dżentelmen, który jest głównym wodzem szczepu Masakin. Oni nazywają go królem, ale nie podoba się to ludziom z Chartumu.

- Znasz go?

- Spotkaliśmy się kiedyś.

- Skontaktujemy się z nim, na miłość boską! Może uda się zawrzeć układ! - wykrzyknęła podnieconym głosem.

- Uważasz, że wszystko jest takie proste. A jak myślisz, co ja, u diabła, robiłem przez ostatnie trzydzieści dni? Stałem przed siedzibą rady próbując uzyskać audiencję! Nie chcieli mnie słuchać.

- Może przestrzegają etykiety - zauważyła Mattie. - Jestem wiceprezesem firmy Latimore'a. Umów mnie na rozmowę z radą.

- W Afryce nic nie przychodzi łatwo. Nie wiem, jak mógłbym wprowadzić do ich siedziby ciebie.

- Nie ma rzeczy niemożliwych. Trzeba tylko świeżego spojrzenia na sprawę.

- Jasne - warknął puszczając jej rękę. - Nie masz pojęcia, o co prosisz.

- Możliwe. Skoro wiesz tak dużo, może wyjaśnisz mi wszystko. Oczywiście prostymi słowami, żeby mózg mi się nie nadwerężył.

- Chętnie nadwerężyłbym ci... Siadaj i pozwól, że wyjaśnię ci kilka podstawowych faktów - wrzasnął.

Odeszła na skraj zacienionego terenu i dygotała. On na nią wrzeszczał!

- Co jest? - usłyszała łagodny głos. Popatrzyła na Ryana i

dostrzegła w jego oczach zatroskanie, prawdziwe zatroskanie. Wzięła ją delikatnie za łokieć.

- Nie chciałem cię tak wystraszyć - powiedział z niepokojem w głosie. - Chyba nie nadaję się do współpracy z kobietami.

- Będziesz się musiał tego nauczyć - odrzekła z rozgoryczeniem.

- Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak kiepsko się przygotowałam na spotkanie z tym... z całym kontynentem. Cieszę się, że jesteśmy sami - dodała pogodnym tonem. - Zaraz powiem o tobie coś miłego i nie chciałabym, żeby to się rozeszło.

- Ja też nie - odparł ze śmiechem. Muszę podtrzymywać swoją reputację.

- Cóż, mimo wszystko dobrze jest mieć przy sobie takiego porządnego faceta, kiedy sprawy idą źle. Teraz powiedz mi o wszystkim.

Potrząsnął głową i zachichotał.

- Po raz pierwszy w życiu usłyszałem komplement. W porządku. Sytuacja jest następująca: członkowie szczepu Masakin mają pewne obyczaje, które nieco zdziwiłyby Bostończyków.

- W to nie wątpię!

- Tylko bez ironii. Ich kulturę tworzą osiadli rolnicy i wędrowni pasterze. W wieku dziesięciu lat chłopak z tego szczepu zaczyna wypasać bydło. Przedtem pracuje na wsi. Czasami podąża za stadem sześć miesięcy, nawet nie wracając do domu. Robi to do trzydziestego piątego roku życia, po czym przyjmuje się go do starszyny, żeni się, staje się członkiem rady i osiada w wiosce, by już jej nie opuszczać.

- Nie interesuje mnie ich życie seksualne - oznajmiła Mattie. - Może po prostu podasz najważniejsze słowa?

- Nie ma problemu. Kluczowe słowa to: małżeństwo, członek rady, starszyna. Rozumiesz?

- Słowa - tak, ale nie muzykę. Może zagrasz jeszcze raz.

- Dobrze. Żeby wysłuchała mnie rada szczepu, muszę najpierw zostać członkiem starszyny. Co do wieku - spełniam ten warunek.

Po drugie, muszę mieć żonę!

- Ale... ja... nie rozumiem, w czym problem - bełkotała marszcząc zabawnie brwi. - Przecież jesteś żonaty, a twoja żona przebywa właśnie w Kosti. Czyli mamy kłopot z głowy. Dlaczego nie...

- Nadal nie rozumiesz - powiedział ze zniecierpliwieniem. - Po pierwsze, nie jestem żonaty i to od sześciu lat. Po drugie, wszyscy o tym wiedzą.

- Mógłbyś stworzyć pozory - stwierdziła zgryźliwie Mattie. - Długo rozmawiałam z twoją żoną. Przepraszam - długo słuchałam twojej żony. Jestem pewna, że z ochotą wróci do ciebie i będzie udawać kochającą żoneczkę.

- O Boże - mruknął i uderzył pięścią w maskę jeepa. - Dlaczego to mnie spotyka?

Mattie wyszczerzyła zęby w uśmiechu. W ciągu dwudziestu pięciu lat swojego życia poświęciła niewiele czasu na analizowanie mężczyzn. Ten nie przypominał ani trochę Popa i różnił się też bardzo od męża Becky, Jake'a.

- Jeśli możesz, przestań się głupio uśmiechać i posłuchaj mnie. Nie mogę zabrać ze sobą Virginii. Po dwudziestu minutach dostałaby spazmów i zażądałaby, żeby ją wsadzić w samolot lecący do Kairu. Być może nie zauważyłaś, że moja żona - moja była żona - nie jest zupełnie normalna.

- O, to kwestia temperamentu - zgodziła się ostrożnie Mattie. - Ale nie powiedziałabym, że...

- Możesz mi wierzyć - ona jest nienormalna! - krzyknął i natychmiast opanował się. - Cholera! Przyrzekłem, że nie będę się na ciebie wydzierać. Denerwujesz mnie bardziej niż jakakolwiek znana mi kobieta. Przez ostatnie dwa, trzy dni nieraz korciło mnie, żeby wyrzucić cię za burtę, ale bywało i tak, że chciałem... Do diabła! Skoro powiedziałem nie to, co trzeba, równie dobrze mogę zrobić coś, na co miałem ochotę cały czas!

Położył łapska na jej ramionach i przycisnął ją do piersi. Mattie

znała co prawda karate, ale ten niedźwiedziowaty facet nie dał jej szans na wykorzystanie umiejętności. Uniósł ją w górę, aż spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie waż się! - powiedziała przez zaciśnięte zęby.

- A właśnie że tak - wymamrotał i przywarł zimnymi, wilgotnymi wargami do jej ust, udaremniając wszelki opór. Pomyślała, że przynajmniej nie jest to gwałt.

Zaledwie przyszła jej do głowy ta zwariowana myśl, napięcie osłabło i już nie miała ochoty wyrwać się z jego objęć. Ryan drażnił i kąsał jej wargi. To, co z początku było przykre, zaczęło sprawiać przyjemność. Zbuntowała się dopiero wtedy, gdy ugryzł ją w ucho i podrapał nie ogolonym policzkiem po delikatnej skórze dziewczyny.

Wreszcie postawił dziewczynę na ziemię.

Coś jest nie tak. Najwyraźniej nie dysponujesz wszystkimi danymi. Czego tu brakuje? Dziewczyno, całowałaś się już przedtem. Cóż takiego, czego nie dostrzegasz, wyprowadza cię z równowagi? A raczej przygnębia. Nic nie przychodziło jej do głowy. „Zbierz więcej danych” - podpowiadał wewnętrzny komputer.

- Skoro mamy za sobą te zapasy, moglibyśmy wrócić do sprawy - powiedziała cicho.

- Masz czerwony policzek - zauważył Ryan.

- Naturalnie - odparła szorstko. - Nie ogoliłeś się!

- Przepraszam! - zrobił krok w jej kierunku, lecz ona natychmiast uskoczyła.

- A zatem nie uzyskasz audiencji, bo nie masz żony i przez to nie możesz zostać członkiem rady.

- Mniej więcej - mruknął.

- A dlaczego ja nie miałabym tam pójść w charakterze doradcy?

- O Boże. Nie uchwyciłaś sensu moich słów. Kobiety - również mężatki - nigdy nie są dopuszczane do udziału w radzie. Nawet królowa. Nigdy!

- Osobliwe ustalenie - powiedziała wolno - choć nie tak zaskakujące. Żyjemy w męskim świecie, prawda?

- Na to wygląda.
- A gdybyś był żonaty i ustalił spotkanie, co musiałaby robić twoja żona?
 - Podobnie jak wszędzie indziej, jest dużo ceremoniału. Moja żona musiałaby przybyć wraz ze mną. Potem przedstawiono by ją radzie kobiet. Nie wiem, co tam się odbywa. Nikt nie chce o tym mówić. Przypuszczam, że jakieś obrzędy. Może picie herbaty albo jedzenie placków.
 - Nie sądzę, żeby chcieli sprawdzić świadectwo zawarcia ślubu?
 - Oczywiście, że nie. Ci ludzie wiedzą o wszystkim, co się dzieje w naszym obozie. Gdybym pojawił się w Topari z żoną, musieliby słyszeć o niej wcześniej.
 - I tylko tym sposobem któreś z nas może się dostać do rady?
 - To niemożliwe - oświadczył Ryan. - Ci ludzie nie są głupcami.
 - Nie ma rzeczy niemożliwych - upierała się Mattie. - Ta sprawa jest bardzo ważna dla firmy. Zatem wykombinujemy ci żonę i pojedziecie do...
 - Topari - powtórzył. - To jakieś mrzonki!
 - To nie są mrzonki - powiedziała uroczyście. - Potrzebujemy jedynie względnie młodej kobiety, która zagra rolę twojej żony.
 - A gdzie ją znajdziemy? - zapytał. - Użyjemy paru magicznych zaklęć? Wytrzaśniemy ją z powietrza?
 - Jakiś ty mało spostrzegawczy - docięła mu. - Ja nią będę!
- Ryan obrócił się ostrożnie, otwierając usta ze zdziwienia.
- Ty? - wydusił z siebie. - Ty miałabyś być moją żoną? Dobry Boże, wolę zapasy z krokodylem!
- Ja chyba też bym wołała. Ale dla firmy zrobię prawie wszystko!
- odparła z oburzeniem.
- Ryan odchylił głowę i zaśmiewał się do łez. A kiedy opanował się i spojrzął na dziewczynę, jego szyderczy uśmiech przypominał minę wilka czyhającego w lesie na Czerwonego Kapturka.
- Powiedziałam - prawie wszystko. Zdaję sobie sprawę z tego, że w obozie będziemy musieli sprawiać wrażenie bardziej...

- Zakochanych? - podsunął.
- No... na zewnątrz.
- Trochę uścisków? - zaproponował.
- Tylko w miejscach publicznych. Nic poza tym.
- Nie sądzę, żeby wyglądało to wiarygodnie bez pocałunków.
Podniosła głowę i rzuciła mu nieprzyjemne spojrzenie. W jego oczach nie było już widać iskierek rozbawienia.
- Cóż, zgadzam się z tobą. Ale tylko publicznie i bardzo rzadko. I żadnych podtekstów! Czy to ich przekona?
- Chyba nie - oznajmił. - Mówimy przecież o mężu i żonie, a nie zwyczajnej letniej przygodzie.
- To znaczy?
- Nie połączą tej przynęty, jeżeli będziesz mieszkała w kwaterze kobiecej, a ja zostanę sam w bungalowie.
- Chwileczkę! - zaprotestowała Mattie. - To już gruba przesada!
- To jedyny sposób - powiedział łagodnie. Zniecierpliwiona Mattie odeszła, ale po chwili wróciła.
- Wiesz, nawet nie brałabym pod uwagę tego wszystkiego, gdyby nie interes firmy - powtórzyła.
- Jasne. Całkowicie cię rozumiem.
- W takim razie dlaczego gnębi mnie ciągle szalona myśl, że jestem manipulowana?
- Sama wszystko wymyśliłaś. Mówiłem ci, że nie da się nic zrobić, i nadal tak uważam.
- Niech cię diabli - powiedziała tonem rezygnacji.
- Działaj, wyślij wiadomość. Umów nas - pana Quinna i jego żonę. I pamiętaj - jeden fałszywy krok, a do końca życia będziesz śpiewał sopranem!
- Hej, to był przecież twój pomysł - zaprotestował.
- Kiedy się wprowadzisz?
- Nie ma sensu odkładać przykrych rzeczy. Wprowadzę się dziś wieczorem. Ale chciałabym wiedzieć, panie Quinn, skąd się wzięła ta

nagła chęć współpracy? Może dowiem się trochę prawdy na ten temat?

- Dobrze, powiem ci. Jest oczywiste, że mnie nie lubisz. Kiedy ta sprawa zostanie załatwiona, nie chcę, żeby wisiła mi na ramieniu jakaś kobieta pragnąca czegoś więcej. Wydaje mi się, że lepiej być z tobą, niż z jakąś kretynką, która wyobrazi sobie nie wiadomo co.

Mattie oczekiwała bezczelnego wyznania, ale teraz czuła się tak, jakby kopnął ją w brzuch muł z Missouri. Odpłacę ci się, Rynie Quinn. Nikt nie będzie robił zera z Mattie Latimore! - pomyślała.

- Masz rację - spojrzała na niego ponuro. - Nie umiem sobie wyobrazić, że jakaś rozsądna kobieta chciałaby wyjść za ciebie.

- Ty nią nie jesteś. To znaczy, rozsądną kobietą. Pomyślała, że trzeba będzie poczekać z przekłuciem tego nadętego balonu. Jej ścisły umysł zaczął opracowywać plan.

- Dobrze. Wobec tego tak właśnie zrobimy. Powstaje tylko problem.

Po jego twarzy przebiegł szyderczy uśmiezek.

- Musisz wymyślić jakiś sposób, żeby powstrzymać Virginie od zamordowania mnie w trakcie tej gry!

ROZDZIAŁ CZWARTY

Łatwo było się z tego śmiać na samotnym wzgórzu i rozmyślnie drażnić Ryana, trudniej - realizować plan w samym sercu obozu. Kiedy przejeżdżali przez bramę, wysoki strażnik-Nuer powitał ich uprzejmym gestem. Kłopoty zaczęły się po tym, jak zatrzymali się przed bungalowem dla gości.

Na ganku czekał z ponurą miną Ahmed, a w otwartych drzwiach stała Virginia.

- Wejdź do środka i zacznij się pakować - poradził Ryan.
- Zapewne nie zauważyłeś - zasyczała Mattie - że oni tam stoją niczym lwy wypuszczone z klatek i szukające zdobyczy. Dlaczego miałabym decydować się na samobójstwo?
- Trzeba tylko trochę odwagi - odrzekł popychając ją na schody.
- *Ja bint* - powiedział szyderczo Ahmed klasyczną arabszczyzną.
- Zdaje się, że będę musiał jeszcze raz sprawdzić twoje dokumenty. Chwycił ją za ramię, ale natychmiast rozdzielił ich Ryan.
- Jeżeli chcesz sprawdzić dokumenty, zrób to tutaj - odparł w tym samym języku. Obaj mówili tak wolno, że Mattie była w stanie ich zrozumieć.
- Panna Latimore jest wiceprezesem tej organizacji i wszystko musi się odbyć w bardzo uprzejmy sposób, mój przyjacielu. Pamiętaj, że mam bezpośredni kontakt radiowy z szefem policji w Chartumie i ze światowymi środkami masowego przekazu.
- Zapominasz, że reprezentuję rząd w Kosti! - odparł z wściekłością Ahmed, a jego twarz spur-purowiała.
- Ty zapominasz, że stoisz na środku obozu Latimore'ów - odrzekł Ryan. - Nasi strażnicy nie darzą specjalną sympatią władzy rządowej. Mógłbyś mieć wypadek, Ahmed, a tego byśmy nie chcieli,

prawda?

- Dlaczego się wtrącasz? - burknął Sudańczyk.
- Ponieważ ta młoda dama przeszła pod moje skrzydła - oznajmił Ryan i, żeby podkreślić swoje słowa, objął ją ramieniem.
- Do następnego razu - warknął Ahmed zbiegając ze schodów.
- Jeżeli do niego dojdzie, w namiocie twojego ojca zapanuje żałoba.

Ahmed pobladł, a potem odszedł.

- O czym tak szwargotaliście? - zapytała ostro Virginia. Jej głos i wyraz twarzy zdradzały wielkie zdenerowanie. Mattie skrzywiła się.

- Nic ważnego - powiedział Ryan. - Zbieraj się, Mattie.

Obydwie kobiety weszły do domu. Mattie ściągnęła torby i zaczęła beładnie wrzucać do nich rzeczy. Virginia siedziała na łóżku i obserwowała ją, nerwowo paląc papierosa.

- Mam rozumieć, że wyjeżdżasz?
- Niezupełnie. - Mattie dostrzegła na jej zaciśniętych wargach triumfalny uśmiezek. Pomyślała, że Virginia jest raczej chora, niż niezrównoważona. Wystarczy spojrzeć w jej przekrwione, zdziczałe oczy. Ta kobieta powinna się znaleźć w szpitalu, a nie w środku Sudanu. Trzeba coś z tym zrobić!

- Virginio, mam przy sobie trochę pieniędzy. Nie wyglądasz na tyle dobrze, by przebywać w Afryce. Mogłabym ci załatwić lot do domu.

- Do domu! Chyba zwariowałaś! Niech cię diabli, raczej zdechnę, niż postawię nogę w Stanach bez siedemnastu tysięcy dolarów!

Ojciec Mattie wyznaczał wszystkim dzieciom spore kieszonkowe, ale matka żądała, by wliczały się z każdego wydanego pensa. Każde dziecko musiało pracować - w domu albo poza nim - i żadne z nich nigdy nie protestowało. Mimo to siedemnaście tysięcy dolarów stanowiło pokaźną sumę.

- Siedemnaście tysięcy! - wyjąkała.
- Właśnie tyle. - Virginia rzuciła papierosa i wgniotła go w

linoleum.

- Gdzie można zdobyć szybko siedemnaście tysięcy?
- Ryan ma ranczo w Teksasie, warte dziesięć razy więcej.

Jestem pewna, że w końcu je sprzeda. Ryan stanowi moje ubezpieczenie i nie pozwolę ci unieważnić tej „polisy”! Opuuszczasz Sudan?

- Niezupełnie.
- Więc co dokładnie planujesz? - nalegała Virginia.
- Po prostu... przeprowadzam się do innego budynku. Wiesz, tu jest za mało miejsca.

- Jasne - powiedziała z goryczą Virginia. - Za mało dla wiceprezesa, jasne. Jak zdobyłaś to stanowisko - przespałaś się z prezesem?

Mattie przystanęła. Miała ochotę wyrwać jej z głowy wszystkie włosy, nawet jeśli ta kobieta była chora.

- Nie, nigdy nie przespałam się z prezesem - odpowiedziała zimno. - Ale zrobiła to moja matka - dodała.
- Cóż, ja... - zaczęła mówić Virginia, ale do drzwi załomotał Ryan i, nie czekając na zaproszenie, wszedł do środka.
- Jeszcze nie jesteś gotowa? - zapytał zgryźliwie.
- Walizka nie chce się zamknąć - odparła wojowniczo Mattie.

Teraz oszaleliśmy wszyscy troje, pomyślała. Ciekawe, kto wybuchnie pierwszy?

- No, ruszaj się. - Ryan zamknął walizkę i rozejrzał się po pokoju. - To wszystko?

- Tak, wszystko, oprócz mnie.
- W takim razie idziemy. - Podniósł trzy walizki i opuścił pokój.

Mattie wzruszyła ramionami i udała się za nim.

- Jestem pewna, że będziemy się widywać częściej!
- Zawołała w drzwiach. - Chyba że zamierzasz wkrótce wyjechać?

- Wyjadę, jak tylko zdobędę prawo do posiadania tego rancza - warknęła Virginia. - Ale dokąd się przenieś?

- Nie wiem - odparła Mattie. - Chyba tam, gdzie mi każe Ryan. Kątem oka dostrzegła, że Virginia sięga po szczotkę na biurku. Nie wyglądała na osobę, która ma zamiar się czesać. Mattie zrobiła unik i zamknęła za sobą drzwi. Usłyszała głuchy łomot już w trakcie gramolenia się do jeepa.

Bungalow Ryana okazał się dwukrotnie większy od domku gościnnego. Mattie ostrożnie wysiadła z samochodu.

- Teraz jest dobra okazja - oznajmił Ryan.
- Dobra okazja do czego?
- Do ściskania się i całowania - odparł radośnie.
- Po drugiej stronie ulicy mamy publiczność.
- Boże, gdyby nie wzgląd na dobro firmy... Któż, u diabła, wytłumaczy to wszystko mojej matce?
- Matce? - zapytał ze śmiechem. - Tej małej pani z Bostonu?
- Tak. I lepiej wymyślmy rozsądne wytłumaczenie, bo inaczej urwie ci głowę, zanim przejdziesz przez frontowe drzwi!
- Będę ćwiczył uniki - powiedział. - Ale nie wybieram się w najbliższym czasie do Bostonu.

Kiedy weszli do domu, nie mogła jeszcze złapać tchu po pocałunkach. Czekając na Ryana i bagaż wyglądała przez zasłonięte okna. Potem rozejrzała się pośpiesznie po pokoju. Dywany na podłodze. Ciężkie, wygodne meble. Przez otwarte drzwi widać było wannę, prysznic i lustro. I troje zamkniętych drzwi. Położyła rękę na pierwszej klamce, kiedy zjawił się Ryan i z hukiem postawił walizki.

- Włącz tę cholerną klimatyzację - zarządził wycierając czoło chustką. — Nie wiem, dlaczego nagle zrobiło się tak gorąco - narzekał.

- Ja też nie wiem - odparła i wybuchnęła śmiechem. Popatrzył na nią w taki sposób, jakby raptownie postradała zmysły.

- Przypuszczam, że to jakiś dowcip w stylu Nowej Anglii. W ogóle go nie zrozumiałem. Ten pokój na końcu jest twój. Środkowe drzwi prowadzą do kuchni.

- Chyba nigdy nie spotkałam faceta, który miałby mniejsze

poczucie humoru niż ty - westchnęła.

- Mnie też się tak zdaje - odparł uroczyście. Postawił walizki w rogu i ruszył do drzwi, ale zmienił zamiar.

- Zabawne - dodał. - Ludzie twierdzą, że byłem najszczęśliwszym dzieciakiem pod słońcem. Chcesz drinka?

Udała się za nim do środkowego pokoju. Znikł w kuchni i po chwili wrócił z dwiema szklankami. Mattie upiła łyček i poczuła straszliwe pieczenie w gardle. Zdołała wszystko wypluć, chociaż kobiecie nie wypadało tego robić.

Ryan zmusił ją do wypicia wody. Dostała ataku kaszlu, więc raz i drugi walnął dziewczynę po plecach.

- Dobrze, już dobrze - jęknęła. - Nie otrułeś mnie, więc nie ma potrzeby tłuc mnie na śmierć.

- Z pewnością nie zamierzałem zrobić niczego takiego - powiedział. - Mój Boże, nigdy bym...

Mattie chciała się dowiedzieć, czego „nigdy by nie zrobił”, ale nie dokończył zdania.

- Co to było? - zapytała odzyskawszy oddech.

- *Rakki*. Zwyczajne, dwukrotnie przedestylowane wino palmowe. Piją je wszyscy tubylcy.

- Nic dziwnego, że nie dokuczają im choroby - odparła z westchnieniem. - Jaki robak odważyłby się ich zakazić, skoro mają we krwi coś takiego?

- Czujesz się lepiej? - Kiedy kiwnęła głową, Ryan znowu przybrał niewzruszoną minę.

- Pijam tylko piwo i to w niedużych ilościach.

- Mamy piwo Kaffir, ale zawiera trzydzieści procent alkoholu i pomyślałem, że będzie dla ciebie zbyt mocne.

- Dziękuję za troskę - mruknęła. - Pewnie nie masz lemoniady?

- Ani odrobiny. Wszystkie płyny sporządzane z wodą trzeba gotować. Mogę ci przynieść filiżnkę herbaty?

- Nie wierzę w to - powiedziała. - Dobrze, niech będzie herbata. Bez śmietanki, bez cukru.

Patrzyła, jak wychodził. Znowu to płynne przyśpieszenie, posuwiste, tygrysie ruchy. Szukała w myślach odpowiedniego słowa. Czujny - to było właściwe określenie. Chodził czujnie, jakby cały czas badał wszystko wokół siebie.

Pomyślała, że poświęciła zbyt dużo młodego życia na studiowanie inżynierii. Od razu zadała sobie pytanie, co ją ominęło. Ale zanim zdążyła wymyślić odpowiedź, pojawił się Ryan z parującym dzbankiem herbaty. Pił ze szklanki tak, jakby to była woda ze studni, gdy ona usiłowała schłodzić herbatę, żeby się nie poparzyć.

- Bardzo luksusowe miejsce - powiedziała próbując przerwać milczenie. - Całkiem eleganckie.

- Na stanowisku ma się pewne przywileje - odrzekł i znowu zapadła przytłaczająca cisza.

- Twoja żona... - zaczęła Mattie.

- Moja była żona - przerwał jej Ryan.

- Wygląda na chorą osobę - powiedziała.

- I co z tego? - zapytał, choć w jego głosie nie było goryczy. - Chcesz poznać historię mojego życia?

- Nie o to mi chodzi.

- W porządku. Opowiem ci o mojej żonie - oświadczył. - Pobraliśmy się osiem lat temu. Było to małżeństwo dynastyczne. Chcieli go ona, moja matka i ojciec, a mnie było wszystko jedno. Nie układało się nam. Rozwiodłem się z nią sześć lat temu.

- Sześć lat to szmat czasu - powiedziała ze współczuciem Mattie. - Nigdy nie poznałeś innej kobiety, z którą chciałbyś się ożenić?

- Poznałem jedną czy dwie - przyznał - ale małżeństwo jest wykluczone. Virginia będzie wisiała mi na karku jak albatros, do końca życia.

- Czujesz się za nią aż tak odpowiedzialny? - Mattie poczuła lekkie ukłucie w sercu. Nie było to współczucie, z pewnością nie. Wahala się jednak, jak nazwać swój stan emocjonalny.

- Oczywiście, że odpowiadam za nią - warknął. - Osiem lat temu stanowiliśmy trio - Joe Sullivan, Virginia i ja. Wyszła za mnie i po

roku uświadomiła sobie, że wybrała niewłaściwego faceta. Zostawiła mnie i wyprowadziła się do Joe, który w dwa lata później zbankrutował i popełnił samobójstwo. Pochodził z jednej z najbogatszych rodzin w Teksasie, a jednak zbankrutował. Możesz to sobie wyobrazić?

- Chyba... tak. Teksas wiąże się z naftą. Zdaje się, że sytuacja w tym stanie jest obecnie bardzo ciężka. To załamało Virginie, tak?

- Tak, właśnie to - odrzekł. - Nie śmierć Joe'ego, który zresztą nie pracował w przemyśle naftowym, ale bankructwo. Ona zresztą do niego doprowadziła. Zapewne nie wiesz, że moja była żona jest nałogową hazardzistką.

- Ona twierdzi... - Mattie zawahała się, lecz chciała poznać prawdę. - Powiedziała, że potrzebuje... dużej ilości pieniędzy.

- O, z pewnością - zgodził się cierpko. - Pobrała pożyczkę. Niech się pomęczy przez jakiś czas.

- Jestem pewna, że bank mógłby przełożyć spłaty - zasugerowała Mattie.

- Jak na wiceprezesa, jesteś małą, naiwną dziewczynką. Jej bank ma swoje sposoby, żeby wycisnąć płatności z klientów. Na przykład łamie się im rzepki kolanowe. Chyba nie sądzisz, że Virginia przyjechała do Sudanu tylko w sprawie zwyczajnej pożyczki bankowej?

Mattie pomyślała, że o takich rzeczach słyszy się tylko w telewizji. Naszła ją jedna drobna wątpliwość.

- Masz zamiar jej pomóc?

- Oczywiście, że tak - odparł z westchnieniem.

- Jestem powodem większości jej problemów, więc w końcu pomogę Virginii. A po paru latach ona znowu się załamie i znowu będę jej pomagał, i tak w kółko. Aż w końcu któreś z nas umrze, albo padniemy oboje. Czy teraz rozumiesz?

- Nie jest to dla mnie taka ważna rzecz - powiedziała ostrożnie.

- Kiedy ruszamy w głąb kraju?

Ryan spojrzał na nią z niesmakiem.

- Zacząłem przygotowania wiele godzin temu - odrzekł powoli. - Wkrótce powinniśmy otrzymać wiadomość. Tymczasem nie oddalaj się od obozu. Ahmed nie wybacza łatwo.

- Opowiadasz niestworzone rzeczy o tym kraju! - zawołała. Sytuacja nie może być aż tak tragiczna. Ahmed to po prostu chłopczyk, któremu pozycja uderzyła do głowy!

- Ahmed zachowuje się jak duża żaba w małej kałuży. Zawsze znajdzie się paru takich jak on na terenie nękanym rebelią. Ale nie wyobrażaj sobie, że to głupiutki chłopczyk. Ma na tym obszarze dużą władzę. Jest podły i mściwy. Idę się rozejrzeć. Przyniosę ci kolację z kantyny.

Mattie popatrzyła na jego plecy i zastanawiała się, gdzie można byłoby wbić nóż, żeby sprawić mu najwięcej bólu.

- Ahmed jest podły i mściwy? - mruknęła do siebie. - Boże, ten dzieciak ma w takim razie odpowiednie towarzystwo!

Kolację przynieśli członkowie szczepu tak zwanych niskich Nuba. Położyli skromne nakrycia i czekali cierpliwie, dopóki nie pojawił się Ryan. Po obejrzeniu stołu pomachał ręką i służący zniknęli.

- Nie spodziewałam się, że przyjdiesz na kolację - powiedziała Mattie przyglądając się jego nowemu, schludnemu ubraniu. Założył nawet koszulę i krawat. Pierwszy punkt dla dzielnego myśliwego? Ona sama spędziła czas na rozkosznej kąpeli, maksymalnie wykorzystując udogodnienia, za które go krytykowała. Świeżo umyte, zaczesane i lśniące włosy opadały jej na ramiona i podkreślały jasną karnację, nieco przyciemnione brwi oraz piękne zęby Mattie. Włożyła wydekolowaną jedwabną suknię w kolorze bursztynu, jedyną, jaką przywiozła na większe okazje. Suknia przylegała kusząco do bioder Mattie. Prócz jednego krótkiego spojrzenia Ryan poświęcił jej mniej więcej tyle samo uwagi, co talarzowi z cielęcina.

- Ja też nie sądziłem, że przyjdę, ale zdołałem szybko wykonać robotę. Poza tym to jest idealna pora na rozpoczęcie naszego przedstawienia. Połowa tych ludzi wyjeżdża nad ranem do swoich

szczepów.

- Rozgłoś wszędzie, że Ryan bin Quinn odwiedza swój harem! Kiedy wrócę do domu, napiszę o tym książkę.

- Jeżeli to zrobisz, skręcę ci kark - ostrzegł ją ponuro. - Nie potrzebuję rozgłosu - zwłaszcza w USA.

- Ha! Będziesz zbyt daleko, żeby się o tym dowiedzieć!

- Nie bądź taka pewna - powiedział bez przekonania. Podsunął jej krzesło, sam zaś usiadł po przeciwnej stronie i podnosił kolejno pokrywy.

- Nieźle. Ryż, cielęcina, soczewica. Mogę cię obsłużyć?

Ustawiczna walka z nim byłaby czymś nieprzyzwoitym. Gdyby mama dowiedziała się kiedyś o tym, zrobiłaby jej awanturę. Przede wszystkim należało być grzecznym, toteż Mattie Latimore zdobyła się na swój najuprzejmiejszy uśmiech i wyraziła zgodę.

Kiedy skończyli jeść, Mattie zmyła naczynia, upychając je na stoliku przy drzwiach, a potem zrobili sobie drinki.

- Jest jakaś wiadomość o wyprawie? - zagadnęła. Ryan pochylił głowę nad szklanką.

- Dużo wiadomości - więcej, niżbym chciał usłyszeć.

Wyjeżdżamy pojutrze, po północy.

- Tak szybko? Myślałam, że uda mi się przespać na jednym z tych miękkich łóżek co najmniej kilka nocy! Dlaczego taki pośpiech?

- Po pierwsze, wkrótce rozpocznie się festiwal *Sanda* i w Topari będą się gromadzić wszystkie szczepy. To odpowiedni moment, żeby się tam pokazać.

- Mówisz rozsądnie - przyznała. - Ale dlaczego nie za trzy, cztery dni? Należę do dziewcząt, które częściej potrzebują regularnego snu. Powiedziałaś: po pierwsze. Czy mam rozumieć, że w grę wchodzi jakiś drugi powód.

- Można chyba tak powiedzieć - powiedział z bardzo przeciągłym, teksańskim akcentem. - Ahmed wystawił wartę przy bramie. Dostali ponoć instrukcję, żeby mieć oko na złotowłosą *ferengi*.

- O rany! - Poczowała skurcz w żołądku. - Zdaje się, że nie pracują tu żadne inne cudzoziemki o jasnych włosach.

- Tylko ty - zachichotał.

- Mój Boże - wykrzyknęła. - Uważasz, że tego rodzaju rzeczy są śmieszne? Ten Sudańczyk tylko czeka, żeby mnie pociąć na kawałki. To ma być zabawne?

- Hej, nie histeryzuj - huknął. - Nie sądzę, żeby chodziło mu o coś więcej niż uwiedzenie.

Powstał, obszedł stół i otworzył ramiona, by dodać jej otuchy. Potrzebowała pokrzepienia, a on mógł je zapewnić. Inaczej nigdy nie zbliżę się do tego człowieka, mówiła sobie przytulając się do jego piersi. Ale trwało to tylko minutę. Wszystkie panny Latimore odznaczały się nie tylko urodą, ale i dumą. Mattie oderwała się od niego i opadła na kanapę.

- Nie twierdzą, że to było takie zabawne - powiedział patrząc na nią uważnie. - Może potrzebuję wykładu na temat humoru?

- Mogłabym udzielić ci paru wskazówek - zaproponowała odzyskawszy równowagę. - Ale jak mam się stąd wydostać, skoro Ahmed pilnuje bram?

- Zapominasz o nowoczesnej technologii - odrzekł z namaszczaniem. - Helikopterem.

- Chcesz mi powiedzieć, że wybrałam się w tę szaloną podróż parowcem na darmo? Cały czas miałeś do dyspozycji helikopter? Ty... - znowu nie umiała znaleźć słów.

- Nic ci nie chcę powiedzieć! - wykrzyknął. Patrzył na jej błyszczące błękitne oczy, zaróżowione policzki, falujące piersi i zaciśnięte, gotowe do ataku pięści, i nagle Mattie wydała mu się najbardziej pociągającą kobietą, jaką kiedykolwiek widział. To odkrycie wprowadziło go w szok i pośpiesznie złagodził swoją wypowiedź.

- Ta sprawa jest bardziej skomplikowana - ciągnął z westchnieniem. - Mamy dwa helikoptery. Zazwyczaj używamy ich wszędzie, ale przez ostatnie trzy tygodnie rebelianci wysyłali swe

bojówki aż do Kordofanu. Mają jakieś rakiety przeciwlotnicze. Dlatego nie uruchamialiśmy helikopterów.

- A więc żeby uniknąć towarzystwa Ahmeda, mam być ruchomym celem? - zapytała cierpko Mattie.

- Mój Boże - zagrział. - Czy uda mi się kiedykolwiek normalnie z tobą porozmawiać? Ilekroć o czymś mówię, ty się czepiasz. Nie, nie będziesz ruchomym celem. Rebelianci nie przepadają za walkami w nocy. Użyjemy helikoptera, żeby wydostać się z terenu Ahmeda, a potem przierzucimy się na transport lądowy.

- Nie wrzeszcz na mnie, nie jestem jakimś kozłem ofiarnym!

- Jak mi się spodoba, będę wrzeszczał - huknął Ryan. A potem dodał cicho: - Do diabła! W porządku, nie będę na ciebie wrzeszczał. Patrzyli na siebie przez kilka sekund.

- Może napijesz się kawy? - zagadnął pojednawczo. Mattie uśmiechnęła się słabo i powróciła do stołu.

Rozmawiali spokojnie przez pełne pięć minut. Mattie zaczęła nawet odczuwać samozadowolenie, ale spokój uległ zburzeniu. Do pokoju weszła Virginia Quinn i trzasnęła drzwiami.

- A więc takie były twoje plany? - krzyknęła. - Wiedziałam, że coś między wami jest! Jecie intymny obiadek przed pójściem do łóżka, tak? Mówiłam ci, blondasko, żebyś nie kombinowała!

- Niczego nie kombinuję. A gdyby nawet, to nie powinnaś się wtrącać!

- Z pewnością będę się wtrącała! - syknęła Virginia.

- Za dużo wypiałś - przerwał jej Ryan powstając wolno z krzesła.

- Uspokój się, Virginio. Opracowujemy jedynie strategię firmy.

- Jasne - powiedziała szyderczo jego była żona. - Widzę to jak na dłoni. Zakłada jedną z tych prześwitujących sukienek z dekoltem, żeby gadać z tobą o interesach. Masz mnie za głupią?

- Chyba niewłaściwie oceniasz sytuację. Mówiłem ci już, że nie mam cię za taką!

- Czy ja muszę to znosić! - zawyła Virginia. - Ktoś na tym ucierpił! Mattie ogarnęło przykre wrażenie, że z pewnością ona okaże się

tą poszkodowaną osobą.

Virginia Quinn potwierdziła jej obawy. Z okropnym wyciem rzuciła się przez stół ku Mattie, przewracając naczynia. Rozczapierzyła palce i jej pomalowane na czerwono paznokcie zbliżyły się do twarzy Mattie niczym dziesięć małych sztyletów. Na szczęście panna Latimore odznaczała się szybkim refleksem i zasłoniła się rękami. Jednocześnie wywróciła krzesło. Ryan również zareagował błyskawicznie. Zanim Virginia zdążyła pomyśleć o następnym manewrze, chwycił ją jedną ręką za kołnierz bluzki, drugą za pasek od spodni. Stawiała opór, lecz uniósł ją w górę i podszedł do drzwi, gdzie postawił swą byłą żonę na ziemię.

Straciła ochotę do walki. Ryan szepnął jej do ucha parę słów i zaczęła płakać, a potem wyszła. Stał przez chwilę w korytarzu, a potem delikatnie zamknął drzwi.

Mattie postawiła krzesło, spojrzała na bałagan na stoliku i w całym pokoju, następnie zaś schyliła się, żeby podnieść potłuczone kawałki.

- Zostaw to - nakazał jej Ryan. - Jutro rano przyjdą tu sprzątacze.

- Tak, oczywiście - westchnęła Mattie i wyprostowała się. - Muszę powiedzieć, że poznawanie twoich przyjaciółek jest... interesujące. Co takiego jej powiedziałaś, że wyszła?

- Powiedziałem jej, że jeśli natychmiast nie przestanie, skreślę jej głupi kark!

- Powinnam była się domyślić - mruknęła Mattie. - Typowa odpowiedź macho. Cóż, może lepiej zacznę się pakować. Ile czasu będziemy jechali?

- Dziesięć, piętnaście dni. Weź rzeczy na podróż i kilka tych diszdasz, które kupiłaś w Kosti.

- Typowo męska odpowiedź - odrzekła z obrzydzeniem. - Mówiłaś, że mam się zobaczyć z królową. Przypuszczam, że odbędą się jakieś ceremonie?

- Oczywiście. Kiedy ja będę na spotkaniu z radą, ty będziesz

rozmawiała z królową.

- Chcę pasować do tego towarzystwa. Powiedz mi, o fontanno mądrości, co założą na siebie tamte kobiety?

- Och, nie pomyślałem o tym - odrzekł Ryan uśmiechając się szyderczo. - Ciekawe. Sądzę, że nie powinnaś się odróżniać od tamtejszych dam.

- Ale co one będą nosiły? - nalegała. Choć wydawało się to niemożliwe, wyszczerzył zęby w jeszcze szerszym uśmiechu.

- Nic - odparł pełnym słodczy głosem. - Szczep Masakin jest zwolennikiem rytualnej nagości.

RRS

ROZDZIAŁ PIĄTY

Hm, powiem tylko tyle: jesteś aroganckim skurczygnatem. Gdzie ten helikopter?
- Przyleci tutaj. Nie odważyłby się nie przybyć.
Powiedziałem pilotowi, że będziesz jego pasażerką i momentalnie osłupiał.

Stali w zupełnej ciemności, na lądowisku dla helikopterów. Wiał zimny wiatr. Brama główna przy drugim krańcu obozu była zamknięta. Na zewnątrz czuwał oddział sześciu żołnierzy sudańskich, w środku zaś znajdował się pluton dwudziestu Nuerów. To wszystko stało się z jego winy, pomyślała.

- Zimno mi.
- Hej - powiedział Ryan zbliżając się do niej. - Wiem, że mnie nie lubisz, ale nasza misja miałaby większe szanse, gdybyś przestała mnie nienawidzić aż tak mocno.
- Nie chcę, żeby nasze osobowości przeszkadzały nam w pracy - powiedziała przepaszającym tonem.
- Podziwiam twój talent administracyjny, twoje zdolności kierownicze.
- A osobiście?
- Cóż - wzruszyła ramionami. Nie było sensu kłamać. - Osobiście... masz rację - po prostu cię nie lubię. Przykro mi, ale tak jest.

Ponad ich głowami ukazały się światła helikoptera, a zaraz potem lądowisko rozbłysło od reflektorów. Po chwili ustał warkot starej, sfatygowanej maszyny.

- Przydałoby się go odmalować - powiedziała zgryźliwie.
- O, właśnie - podchwycił. - Czy istnieje coś, czego byś nie

skrytykowała? Tak, trzeba go pomalować, a już na pewno zamontować nowy silnik. Pomyśl też, że pilot potrzebuje wypoczynku! Co masz jeszcze do powiedzenia?

Boczne drzwiczki helikoptera rozsunęły się i spuszczo z nich małą drabinę.

- Skoro brakuje ci farby, zamów ją - krzyknęła Mattie. - A jeśli pilot musi odpocząć, z ochotą go zastąpię.

- Jesteś pilotem? - zapytał z niedowierzaniem.

- Od siedemnastego roku życia.

- To znaczy od zeszłego tygodnia?

Zaczęła udzielać odpowiedzi, ale szybko zorientowała się, że ją pokonał. Nie zamierzała wyjawić mu swego wieku. Nie dlatego, że miała dwadzieścia pięć lat; po prostu nie powinien się tym interesować.

Porozumiewanie się z Ryanem graniczyło z niemożliwością. Nie dysponowali nagłośnionym systemem telefonicznym, a hałas w helikopterze był dwukrotnie większy niż na zewnątrz. Parę razy usiłowała go przekrzyczeć, ale bez powodzenia. Ryan podał jej zatyczki do uszu sporządzone z plastiku i gumy.

Stwierdziła z przygnębieniem, że podoba jej się ta cisza. Było to oczywiste kłamstwo, gdyż Mattie uwielbiała rozmawiać z przeróżnymi ludźmi. Obserwując Ryana pograżyła się w myślach. Wertował jakieś dokumenty i pracował mimo skąpego oświetlenia kabiny. Wyruszyli na wyprawę, która mogła uratować egzystencję firmy w środkowej Afryce, a on wsadził nos w papierkową robotę!

Stwierdziła, że powinien się ostrzec. Co prawda tryskał zdrowiem i wyglądał bardzo schludnie w dżinsach i ciemnej koszuli, ale na karku miał brązowe odrosty. Pomyślała, że wiele kobiet chciałoby przejechać palcami po tej czuprynie, i śmiała się z siebie.

W Instytucie Technologii poznała młodego studenta z zachwycającą szopą włosów. Kiedy jednak spróbowała jej dotknąć, okazało się, że to peruka, i student już nigdy więcej się do niej nie odezwał!

Usiłowała trochę się zdrzemnąć, ale nie była w stanie wyrzucić Ryana ze swoich myśli. Prześladowała ją jego twarz i uśmiech. Było to dla niej nieoczekiwane doznanie. W ciągu kilku lat pracy w kierownictwie firmy nauczyła się demonstrować opanowanie i stanowczość. „Masz podwójne obciążenie” - powiedział jej kiedyś ojciec. „Wiem, że jesteś dobrym inżynierem - jednym z najlepszych - ale dla większości naszych ludzi będziesz córką szefa. Pozbędziesz się tego garbu pokrewieństwa jedynie wówczas, gdy udowodnisz, jak duże masz zdolności. I zrobisz to samodzielnie, Mattie. Nie obniżę wymagań i nie zmienię zarządzeń tylko dlatego, że jesteś moją córką”.

- Ale poza godzinami pracy nadal mnie kochasz? - zagadnęła impertynencko, a potem zaczęła dokładnie wypełniać jego zalecenia, i to z powodzeniem. Pracowała przy sześciu ważnych projektach i przekonała się, że z chwilą, gdy nauczyła się słuchać zarządzeń, potrafi je również wydawać. Odkryła również, że wielu jej współpracowników ma miękkie serca. Ale Ryan Quinn był jak z kamienia. Z tą myślą zasnęła.

Obudził ją hałas podczas lądowania. Światła w kabinie były wyłączone. Mattie wyjrzała przez okienko, ale nie mogła niczego dojrzeć. Pilot wylądował w zupełnej ciemności. Zignorowała wyciągniętą rękę Ryana i wygramoliła się z helikoptera.

Wylądowali na małym skrawku trawy, około pół mili od wzgórz, które wylaniały się na południu. Kiedy oczy Mattie przywykły do ciemności, ujrzała niewyraźne zarysy jakiegoś wozu stojącego mniej więcej sześć metrów dalej. Ryan popchnął ją w stronę pojazdu: Z drugiej strony nadszedł nie znany jej mężczyzna.

- *Hujambo* - mruknął. Ryan powitał go w ten sam sposób.
- Gdzie jesteśmy? - zapytała konspiracyjnym szeptem.
- Możesz mówić głośno - odrzekł z chichotem. - Nie ma nikogo w promieniu dziesięciu mil. Tak sędzę.

- Ale myślałam, że lecimy do Topari. Nie widzę tu żadnych wiosek.

- Chodź - ponaglał. - Nie wiadomo, co może się zdarzyć. Lepiej nie przebywać tu za długo. Wskakuj do landrovera.

Popchnął ją stanowczo w stronę wozu, jakby chciał się upewnić, że go posłucha. W tej samej chwili pilot helikoptera uruchomił silnik i stara maszyna wzbiła się w powietrze.

Mattie zadrżała. Chociaż słońce miało wzejść dopiero za godzinę, to przyczyną dreszczy nie był zimny wiatr. Przyszło jej do głowy, że zostali zupełnie sami.

- Odlatuje - powiedziała płacząco. Podniósł głowę i spojrzał na nią. - Helikopter - dorzuciła.

- Oczywiście. Taki jest cel całego przedsięwzięcia.

- W takim razie może mi go wyjaśnisz. Oprócz nas nie ma w tej okolicy żywej duszy.

- Amen - odrzekł zgryźliwie. - O co chodzi? Masz pietra?

- Od czasu do czasu chyba mam prawo się bać? Poklepał ją po ręku.

- Każdy ma prawo. Ja sam parę razy panicznie się bałem. Ale myślałem, że dostojna panna Latimore... O cholera! Znowu zaczynam.

Przyciągnął ją do siebie.

- Nie ma powodu do obaw - wyjaśnił. - Nie chcieliśmy ryzykować znalezienia się na terenie rebelii. Zostawiliśmy fałszywy trop dla Ahmeda bin Raszida.

Jesteśmy około dziesięć mil od Er Rahad, na wystarczająco bezpiecznym obszarze. Helikopter leci teraz w przeciwnym kierunku, do Sennar na Nilu Błękitnym. Zjawi się tam o świcie, a wiadomość o przylocie niemal natychmiast dotrze do Kosty. To powinno pokrzyżować knowania Ahmeda i zostawić nam wolną drogę.

- Zupełnie jak opowieść Sherlocka Holmesa - zaśmiała się Mattie czując nagłą ulgę. - Po wyjaśnieniach wszystko wydaje się takie proste! Ale chyba nie podoba mi się wyrażenie „knowania Ahmeda”. Naprawdę sądzisz, że coś uknuł?

- Nie traktuj tego zbyt lekko, Mattie. To niebezpieczny młodzian, a my znajdujemy się w takiej części świata, gdzie czasami nie obowiązuje prawo.

- Postaram się - odparła z westchnieniem. - Dziękuję.

Przez chwilę Ryan ścisnął mocniej jej dłoń, by w końcu zwolnić uścisk. Wielka pustka dookoła wyciszała nieco hałas silnika. Mattie przyszło do głowy kilka pytań.

- Jak to możliwe, że wewnątrz tej rzeczy jest ustawione odwrotnie?

- Co? - Jechali przez równiną prerię bez świateł i Ryan pochylił się nad kierownicą, żeby popatrzeć na drogę. Nie pomagał mu w tym księżyc, który natychmiast schował się za chmurami.

- A, masz na myśli kierownicę? Ten wóz jest brytyjskim modelem eksportowym, jednym z najlepszych na świecie. Napęd na cztery koła, przystosowanie do jazdy w buszu, niezawodny silnik. Gdzie jest ta droga?

- Droga? To my szukamy drogi?!

- Już nie - odparł chichocząc. Pojazd oderwał się na moment od ziemi, a następnie opadł z potężnym łomotem. Zatoczył mały łuk i zaczął jechać bez przeszkód.

- Kierujemy się teraz na południowy zachód - powiedział włączając reflektory. - Jakies trzydzieści kilometrów stąd znajduje się góra Kolib.

Ta informacja dała jej trochę poczucia bezpieczeństwa, chociaż nie miała pojęcia, gdzie jest góra Kolib. W każdym razie nie dojechali do celu. Ryan zatrzymał się półtora kilometra za kolejną wioską i zjechał z drogi.

- Tu powinno być dobre miejsce - oznajmił po wyłączeniu silnika. Dobre miejsce na co?, pomyślała. Ryan wyczuł jej niepokój.

- Na razie rozbijemy tu obóz i położymy się spać - wyjaśnił. - Żadne z nas nie spało ostatniej nocy. Na drogach jest niebezpiecznie.

- Nie mów, że są zatłoczone - warknęła. - Od godziny nie

widziałam żadnego samochodu. I nie bardzo mi się podoba obozowanie pod gołym niebem, skoro znajdujemy się parę kilometrów od miasteczka. Musi tam być hotel.

- Chyba byś go nie zauważyła - odparł ze śmiechem. - Najbliższa wioska ma około czterystu mieszkańców, nie więcej. Znajdujemy się na dawnym szlaku karawan. W mieście jest stary zajazd. Liczne wielbłądy przywlokły tam mnóstwo pcheł i innych owadów. Już wolę porządny, czysty obóz na świeżym powietrzu.

A ja wolę nie spędzać kolejnej nocy zbyt blisko ciebie, pomyślała Mattie. Ale... pchły czy Ryan Quinn?

- To brzmi rozsądnie - powiedziała chłodnym tonem, a on spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Żadnych obiekcji?

- Żadnych, ale myślę, że powinniśmy rozbić się między drzewami.

Jakieś dwieście metrów dalej znajdował się mały pagórek porośnięty drzewami akacjowymi.

- Mówisz poważnie?

- Oczywiście, że tak. Uchronimy się w ten sposób od słońca.

- Cóż, ciągle nie dajesz mi zapomnieć, że ty jesteś tutaj szefem.

Zapalił silnik i wjechał na stok. Zatrzymali się pośrodku grupy drzew, których korzenie czerpały wodę z pobliskiego koryta rzecznej. Pomimo iż pagórek był mały, rozciągał się z niego szeroki widok.

- Jak w Teksasie - powiedział powoli Ryan. - Widzi się tylko kilometry przestrzeni. Rozpakuję namiot.

- Pomogę ci.

Mattie wygramoliła się z wozu i z trudem rozprostowała zdrętwiałe nogi. „Rozpakuję namiot” - słyszała wyraźnie. Namiot. Co robi, jeśli Ryan znowu wyjmie ten podwójny śpiwór? Dzięki praktycznemu umysłowi w samą porę zdołała opanować histerię. Mówiła sobie, że przecież nie ma potrzeby rozbijania dwóch namiotów. Z pewnością nie ośmieliłby się zaatakować swojej

przełożonej. A poza tym jest dość brzydki, więc ja nie będę miała ochoty zaatakować jego!

Z pomocą Mattie rozbicie obozu i rozpalenie małego ogniska zajęło zaledwie dwadzieścia minut. Usiłując wbić palik z tyłu, oparła się plecami o jedno z drzew.

- Coś mnie ukłuło! - wykrzyknęła i odskoczyła ze łzami na twarzy. Ryan przybiegł do niej, szybko się rozejrzał i wybuchnął śmiechem.

- To wcale nie jest takie śmieszne - poskarżyła się. - Coś utkwiło w mojej... we mnie. Wyjmij to! I nie wąż się śmiać!

- Nie będę - zapewnił. - Obróć się.

- Nadal się śmiejesz - rzuciła oskarżenia przez ramię.

- Nie, naprawdę nie. Przez sekundę będzie cię bolało.

- Ja... dobry Boże! - odwróciła się, żeby obejrzeć ostry kolec trzymany dwoma palcami przez Ryana.

- Skąd on się wziął? Dlaczego mnie nie ostrzegłeś?

- Myślałem, że o nich wiesz - odrzekł. Widziała, jak drżą kąciki jego ust. - Uparłaś się, żeby nocować pod tymi drzewami. Niezły pomysł, o ile jest się ostrożnym. W tej okolicy nazywa się je ciernistymi krzewami.

Mattie potrzebowała pół godziny, żeby odzyskać dobry humor. Kiedy obserwowała, jak Ryan podtrzymuje ogień, musiała uczciwie przyznać, że bez jej pomocy rozbiłby obóz w dziesięć minut. Zauważył jej uśmiech.

- Właśnie się zastanawiałam nad tą ciszą. Nie słychać ptaków, zwierząt - jakby cała kraina została opuszczona.

- W pewnym sensie masz rację. Susza trwała w Sahelu przez dziesięć lat. Cały zachodni obszar Sudanu, Etiopii, Czadu i Republiki Środkowej Afryki praktycznie wysechł na popiół. Słyszałem, że kiedyś można było tu zobaczyć lwa i słonia, i strusia, i lamparta, i żyrafę, i... no, typową faunę tropikalnej Afryki, nie mówiąc o ptakach. Susza zniszczyła wszystko. Lubisz jaja w proszku?

- Zjem wszystko - zapewniła go Mattie. Wlał trochę wody na

patelnię i zaczął mieszać proszek.

- Spróbuj tego, a ja zacznę robić kawę. - Wręczył jej kolejną kromkę chleba podróznego, którego posmakowała na pokładzie parowca „Hurrija”. Wydawało jej się, że od tamtej chwili upłynęły całe lata. Ryan wydrążył chleb i wypełnił go czymś w rodzaju jajeczniczy. Smakował niczym ambrozja, a herbata -jak nektar. Mattie pomyślała, że życie nie jest takie złe, nawet jeśli trzeba znosić obecność Ryana Quinna!

Postawił namiot w taki sposób, że wszystkie jego boki były zrolowane do góry i umożliwiały swobodny przewiew. Jakiś zły duch musiał mu szepnąć tej nocy coś do ucha. Mattie spostrzegła dwa oddzielne śpiwory leżące w maksymalnej odległości od siebie. Wzięła się za szorowanie patelni piaskiem, a Ryan w tym czasie podjechał landroverem jeszcze bliżej drzew.

- Nie chciałbym mieć gości w trakcie snu - oznajmił. Tą uwagą całkowicie wyprowadził ją z równowagi. Ściągnął buty, rozpiął pasek i wyciągnął się na jednym ze śpiworów. Mattie trudno było pójść w jego ślady. Przewracała się z boku na bok nie mogąc wygodnie się ułożyć. Dwukrotnie wygrzebywała spod śpiwora kawałki skały. Nigdy w życiu nie widziała ziemi, gdzie pod krzaczastymi zaroślami kryłaby się tak twarda skała!

Jemu chyba nic nie przeszkadzało. Na myśl o tym Mattie wpadała w coraz większą złość. Z minuty na minutę ich plan wydawał się bardziej zwariowany! Jechać z Ryanem Quinnem, bo rada go nie wysłucha, jeśli nie przywiezie żony? To chyba najbardziej nieprzekonujące usprawiedliwienie, jakie kiedykolwiek słyszała! W takim razie dlaczego jedzie z tym naciągaczem? Bo mu uwierzyła? Tylko kompletna idiotka nabrałaby się na sztuczki Ryana Quinna! Ale to był przecież twój pomysł, ty kretynko!

Przymknęła na chwilę powieki. Wschód słońca rozpędził gromadzące się chmury. Temperatura skoczyła w górę, jakby termometry miały popełnić samobójstwo, i Mattie ponownie zmrużyła oczy.

Szybko zasnęła i oddychała gardłowo. Wówczas Ryan otworzył oczy, zbadał sytuację, przewrócił się na bok i spędził urocze kilka minut na obserwowaniu swej towarzyszki. Roztrzepane jasne włosy okalały twarz, której zmienny wyraz sugerował, że Mattie coś się śni. Zaciskała i rozwierała ręce, a jej bluzka i kamizelka przekręciły się ukazując delikatną, opaloną skórę na biodrze i pępku. Nie mógł się powstrzymać od uśmiechu. Wszyscy wiceprezesi są równi, ale niektórzy są równiejsi, pomyślał z uciechą. Poranny upał zaczął oddziaływać na jego mózg i Ryan również zasnął. Nawiedzały go sny, jakich nie miewał od lat.

Wreszcie skwar ustąpił. Mattie nie wczołgała się do śpiwora, lecz położyła się na nim, zdjawszy uprzednio buty. Rozbudził ją nieco chłód, który dosięgnął stóp - najwrażliwszej partii jej ciała. Rozbudził, ale nie do końca. Pod przymkniętymi powiekami przebłyskiwał jakiś sen. Biegła w ciemności, próbowała uciekać? Nie, usiłowała coś dogonić. Ale cel znajdował się daleko przed nią i oddalał się, a ona popełniała błędy. Ziemia kołysała się, jak gdyby Mattie płynęła w łodzi i nie mogła swobodnie się poruszać z powodu krępującego ubrania. Ręka dzikusa wygrażała jej cierniem, a w uszach odbił się czyjś głos: „Jak możesz prowadzić, skoro nie jesteś w stanie nawet podążać za czymś?” Thor ciskał na nią gromy, a odgłosy wojny po obu stronach drogi zmuszały do kroczenia pośrodku ścieżki. A potem wpadła do rzeki i miała mokrą twarz. Mattie przebudziła się z krzykiem i zerwała się na kolana.

- O co chodzi? - Kiedy uderzył piorun, Ryan wygrzebał się ze śpiwora i objął dziewczynę opiekuńczym gestem, by uchronić ją przed wielkimi kroplami, które spadały do namiotu.

Nadeszła pora deszczów.

Kłęczeli objęci przed kilka minut i patrzyli na ulewę. Ryan uspokajał Mattie, która starała się odzyskać równowagę. Nie przyszło jej to łatwo.

- Już jest dobrze - powiedziała mu. - Nie rozumiem tego.
- Byłaś zmęczona - pocieszał dziewczynę. - Deszcz cię

zaskoczył. Nie spodziewałaś się, że pora deszczowa zacznie się od burzy z piorunami.

- W Bostonie mówili mi, że może padać trzy miesiące.

- Nie aż tak długo - zapewnił. - Owszem, będzie padać w ciągu następnego kwartału, ale myślę, że w sumie nie więcej niż przez trzydzieści dni. Kłopot w tym, że przez te trzydzieści dni spadnie całoroczny deszcz. Spójrz, jak duże są te krople!

Od momentu przebudzenia Mattie oddawała się wyłącznie obserwacji. Deszcz, którego krople przypominały ziarnka grochu, utworzył błotniste bajora na płaskiej powierzchni sawanny. Cały świat zalewał się łzami. Akacje przez chwilę opierały się burzy, aż w końcu sprawiły im dodatkowy prysznic. Po obu stronach ukazywały się błyskawice.

- Musimy się stąd wydostać - szepnął jej do ucha Ryan.

- Przy tej ulewie? Ty chyba zwariowałeś!

- Hej, pani inżynier - krzyknął na nią. - Gdzie jesteśmy? Wokół całego terenu uderzają pioruny, znajdujemy się pośrodku płaskowyżu, na szczycie wzgórza. Mówi ci to coś, szefowo?

Umysł Mattie zaczął powoli pracować. Równina, wysokie wzgórza, piorun - wszystko razem wzięte oznaczało katastrofę. Wciąż dobrze pamiętała scenę z dzieciństwa. Trening piłki nożnej na płaskim terenie i trener, który nakazał piłkarzom grać dalej, mimo że nadchodziła burza. Uderzenie pioruna. Śmierć dwóch graczy i trenera.

- Dokąd biegniemy?

- Na lewo od nas jest suche *wadi* - krzyknął Ryan. - Koryto rzeczne. Jak uderzy następny piorun, gnaj na złamanie karku.

Mattie odnalazła swoje buty, ale postanowiła ich nie nakładać, żeby nie marnować czasu, tym bardziej, że Ryan ponaglał ją do biegu. Pokonała sto metrów w rekordowym tempie. W miarę zbliżania się do *wadi* to zaledwie metrowe zagłębienie wydawało jej się coraz bardziej upragnione. Ryan nie dał jej czasu na ceremonialne wejście. Jednym mocnym pchnięciem zwałił ją do

rowu, a w chwilę później poszedł w jej ślady, niemal przygniatając dziewczynę.

- Nie podnoś głowy - przekrzykiwał burzę. - To nie potrwa długo! I opuść tyłek!

Mattie przywarła do ziemi, ale wkrótce do *wadi* zaczęła ściekać woda. Po kilku minutach tkwili po szyję w błotnistej cieczy.

- Nie - ostrzegł Ryan. - Trzymaj nos pod wodą, ale nie wstawaj!

Widok sponad krawędzi *wadi* był przerażający. Kilkaset metrów dalej piorun uderzył w grupę drzew, które stanęły w płomieniach mimo ulewnego deszczu.

- Nic ci nie jest? - zapytał Ryan.

- Wszystko w porządku - odparła.

Burza przetoczyła się na północ, w kierunku El Obeid.

- Prawie się Wypogodziło - powiedział. - Myślę, że możemy...

Ale burza zadała przewrotnie jeszcze jeden, ostateczny cios. Potężne uderzenie piorunu powstrzymało ich od wybiegnięcia i zniszczyło korony akacji. Potem wszystko ucichło i zaczął padać niezbyt ulewny deszcz.

- O mój Boże, popatrz na to - powiedział przez zaciśnięte zęby.

Ich namiot płonął, a dwa drzewa zwały się na landrovera. Wokół zbiornika na benzynę tańczyły płomienie.

- W wozie jest cała nasza żywność! - jęczał. - Dlaczego mnie to spotyka, Boże?

Nie musiał kończyć tego zdania. Pojazd, namiot i resztki drzew zamieniły się w ognistą kulę i z wielkim hukiem wyleciały w powietrze. Mattie próbowała zobaczyć ten wybuch, ale Ryan wcisnął jej głowę w błoto.

- Przeklęta idiotko! - wściekał się. - Wszędzie pełno odłamków!

Wsunęła na oślep rękę w kierunku nosa, żeby oczyścić go z błota. Trzeba było oddychać, nawet mimo śmiertelnego strachu.

Cały czas padał kapuśniaczek. W naturze ponownie zapanowała cisza. Ryan podsadził Mattie. Usiedli w *wadi*, gdzie woda sięgała im do pasa, i spoglądali na miejsce niedawnego obozowiska.

- O mój Boże - powtórzył ponuro.
- Jest w tym jedna dobra strona - powiedziała spokojnie, szukając pod wodą butów.
- O? - wyraził gniewne zdumienie. - Cóż takiego?
- Skoro musimy iść pieszo, czy to nie sprzyjająca okoliczność, że następna wioska jest zaledwie o półtora kilometra stąd?
- Nie boisz się?
- Oczywiście, że nie. Nie ma sensu bać się po fakcie, prawda?
- Chyba tak - zgodził się posepnie.
- Ale pięć minut wcześniej zęby tak mi szczękały ze strachu, że omal nie popękały - wyznała. - Jak wyglądają moje włosy?
- Ubłocone, jak cała reszta. Myślałem, że woda deszczowa stanowi idealny szampon.
- Wy, mężczyźni, wszyscy jesteście tacy sami. Nigdy nie zrozumiecie kobiet - zaśmiała się buńczucznie Mattie. - Dlaczego przed chwilą byłeś taki ponury?
- Wy, kobiety, jesteście wszystkie takie same - odciął się. - Nigdy nie zrozumiecie, co liczy się dla mężczyzny. Zostawiłem moją najlepszą fajkę na przednim siedzeniu samochodu!

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nie ma wygodniejszego miejsca - powiedziała Mattie skubiąc długie źdźbło trawy. Leżała na słomie w starym wozie ciągniętym przez woły. Jego drewniane koła skrzypiały na drodze między górami. - I jaki świetny pomysł - wynająć całą ekipę!

Nie miał to być komplement, choć z drugiej strony w tej wiosce nie można było ani wynająć, ani kupić, ani ukraść innego środka komunikacji.

W oczekiwaniu na odpowiedź spojrzała na Ryana i stłumiła chichot. Ryan Quinn leżał obok niej na słomie i smacznie spał na brzuchu.

- Nie pojmuję, dlaczego tak się ciebie czepiam - mruknęła. - Z pewnością starałeś się mną opiekować, mimo iż robiłam niekiedy głupstwa.

Poruszył się i mucha, która siedziała mu na nosie, odleciała.

Mattie uśmiechnęła się i zdjęła kapelusz, żeby go użyć jako wachlarza. Rozejrzała się dookoła i wzięła głęboki oddech. Powietrze było czyste i orzeźwiające. Dotychczas padało tylko w ciągu jednego dnia i to nie przez cały czas. Ulewa rzadko trwała dłużej niż godzinę, dwie, ale jeżeli już występowała, była rześista. Na drugi dzień kraina wróciła do życia. Wysuszona, zbrązowiała trawa zazieleniła się i wystrzeliła w górę, by dogonić szybko zakwitające Kwiaty. Pozornie uschłe krzewy wypuszczały liście. Nieduże, suche koryta rzeczne stały się zatoczkami i strumykami. Wszędzie było widać małe grupki Masakinów, którzy ciężko pracowali na swoich polach.

Pierwszego dnia Mattie czuła okropne napięcie. Pamiętała dokładnie, jak stała na terenie obozowiska, a łagodne deszcze obmywały jej twarz z błota. Niezdolna do ruchu i pogrążona w rozpacz obserwowała Ryna, który grzebał w szczątkach w poszukiwaniu czegoś, co dałoby się uratować. Znalezione przedmioty rzucał jej pod nogi. Uzbierała się z nich pokaźna kupka. Dwa pojemniki - jeden w połowie wypełniony wodą. Jeden śpiwór, nieco nadpalony, ale zdatny do użytku. Żadnej odzieży na zmianę, z wyjątkiem kapelusza, który straciła podczas szaleńczego biegu do *wadi*. Z wdzięcznością wcisnęła go na głowę. Słońce równikowe było bardzo niebezpieczne. Ryan znalazł jeszcze torbę z urwanym paskiem i strzelbę, której drewniane łożysko było nadpalone (twierdził, że broń nadaje się do użytku). Ponadto zestaw pierwszej pomocy oraz podłogę od namiotu i szczoteczkę do zębów, którą mogli się dzielić.

Skromny dobytek zważywszy, iż znajdowali się na środku afrykańskiej równiny. Ryan opuścił zgliszcza i stanął obok Mattie, spoglądając na mizerne rezultaty swojej pracy.

- Z pewnością będziemy mieli mniej do dźwigania, prawda? - zagadnęła Mattie, uśmiechając się do niego.

- Nie sądzę, żebym kiedykolwiek cię zrozumiał - oznajmił Ryan drapiąc się w czubek głowy. - Spodziewałem się przynajmniej silnego ataku hysterii, a ty robisz sobie żarty. Co się z tobą dzieje, kobieto?

- Dlaczego miałabym wpadać w histerię? Zagubiliśmy się, ale przecież wiemy, na jakim kontynencie się znajdujemy. Po drodze na pewno zdobędziemy jakąś żywność, a poza tym mam ciebie.

Jakim cudem wymknęło jej się coś takiego? Mam ciebie? Cóż to za dobroduszna postawa? Prawdziwy przywódca musi trzymać swoje wojska na dystans! Ale przecież jest ich tylko dwoje. Nie muszą być dowódcami i podwładnymi, ale po prostu towarzyszami. Dobrymi towarzyszami! Kiedy spojrzała na Ryana, w kącikach jej ust zagościł uśmiech.

Nie był specjalnie przystojny. Na twarzy miał nadal placki błota. Poczerniałe od dymu czoło zmywał deszcz, wilgotne czarne włosy przyklejały się do głowy. Ubranie było w nieładzie. A jednak wyglądał nieźle.

- Jeśli to ma być komplement, dziękuję - odrzekł ostrożnie.

- To jest komplement - zaśmiała się Mattie. - Schył się trochę.

Mimo wszystko musiała stanąć na palcach, ale zdołała obetrzeć mały fragment jego policzka i pocałowała go w tamto miejsce.

Wyprostował się. Dostrzegła w jego oczach niepewność.

- Dlaczego to zrobiłaś? - zapytał.

- Och, musi być powód?

- Hm. - Zastanawiał się przez chwilę, a potem wzruszył ramionami. - Chyba nie. Tak czy siak, dziękuję ci. Myślę, że powinniśmy się zbierać. Chciałbym, żebyśmy dotarli do wioski przed zapadnięciem zmroku.

W Mattie narastało pewne podniecenie. Nie umiała go określić, ale odczuwała je.

- Wyglądasz, jakby cię przekrecono przez maszynkę do mięsa - drażniła Ryana.

Ryan wyprostował się i uśmiechnął blado.

- Za to ty wyglądasz nader apetycznie!

Tym razem to Mattie poczuła się zbита z tropu. Twardziel - Quinn prawdziwy komplementy? Jej sprawny zazwyczaj umysł odmawiał posłuszeństwa. Patrzyła, jak klęczał i pakował ich dobra doczesne.

- Mogłabym coś ponieść - nalegała, gdy zarzucił pakunek na plecy.

- Jasne, że mogłabyś - odrzekł, ale zatrzymał się widząc, że poczuła się zraniona.

- Hej, nie chciałem powiedzieć czegoś przykrego. Po prostu wychowałem się w innej... generacji. Mężczyźni noszą ciężary. Kiedy zabieram kobietę na kolację, płacę za nią. Otwieram przed nią drzwi.

- Tutaj? - przerwała ze śmiechem Mattie. Oboje spojrzeli na

krajobraz pozbawiony domów i drzwi. Ryan odwzajemnił jej uśmiech.

- Jak tylko znajdę jakieś drzwi, otworzę je przed tobą.

Ułożył pakunek wygodnie na plecach i zaczęli wędrówkę. Mattie usiłowała za nim nadążyć. Miała nieprzemakalne buty, ale tylko na wilgoć z zewnątrz. Kiedy ustąpiła mżawka i pokazało się słońce, jej odzież zaczęła parować, a spódnica krępowała kolana w miarę kurczenia się materiału. Wreszcie zdesperowana Mattie krzyknęła.

- Hej!

Ryan przystanął i odwrócił się do niej.

- Jakiś problem?

- Nic ważnego. Potrzebuję tylko chwili na doprowadzenie się do porządku. Nie mogę za tobą nadążyć.

- W porządku. Ciągle zapominam, że przecież nie mamy powodu, żeby się śpieszyć.

Poczuła, że właśnie dowiedziała się czegoś ogromnie ważnego. „Nie mamy powodu, żeby się śpieszyć”! Ostatni raz nie śpieszyło się jej w dzieciństwie, kiedy przechadzała się z Mary-Kate. Jej ambicje i zamiłowania sprawiały, że ukończyła szkołę bardzo szybko. Zawsze próbowała być najlepsza i osiągała sukces. Ileż to razy matka mówiła jej: „Przyhamuj, dziewczyno! Masz przed sobą długie życie. Nie chcesz chyba go przeżyć przez pierwsze dwadzieścia lat!”.

Kiedy znowu ruszyli w drogę, Ryan zwolnił tempo. Chwytał Mattie za rękę, kiedy dziewczyna potknęła się na kamieniach. Nie puścił jej nawet po podjęciu wędrówki. Ona również nie chciała wyrwać ręki z jego uścisku.

Po godzinie marszu natknęli się na małe skupisko chat. Ale nie wioska zaskoczyła Mattie. Zdumiało ją różnobarwne światło słońca na zachodnich wzgórzach.

- Popatrz na to! - zawołała zatrzymując Ryana. Spojrzał na słońce w momencie, gdy złocisty blask nabierał bursztynowej barwy, a czerwień stawała się purpurowa.

- Dobry Boże! - wykrzyknął. Patrzyli, jak zmieniały się i mieszały

ze sobą kolory, by stopić się w szarym zmierzchu. Zeszli ze wzgórza dopiero po dziesięciu minutach. Czekają ich powitanie, jakiego nigdy by się nie spodziewali.

Bez wątpienia wioska była mała. Mogła mieć czterystu mieszkańców, ale chyba sprosili oni swoich krewnych, gdyż Mattie naliczyła około tysiąca ludzi. Wszyscy należeli do szczepu Masakin Tiwal - wysokich Nubijczyków - i czekali z radosnymi, uśmiechniętymi twarzami. Tłum zaintonował pieśń, a kilku mężczyzn zaczęło taniec składający się z wysokich podskoków.

- Naprawdę mówisz w języku Tiwal? - zapytała nerwowo.

- Kilka słów - mruknął Ryan. - Witajcie, jak się miewacie, tego rodzaju wyrażenia.

Po upływie godziny doszła do wniosku, że wcale nie wypadli tak źle. Potężny mężczyzna stojący na czele tłumu nazywał się Amepa. Miał trzy żony i mnóstwo bydła. Wódz Artafi nakazał mu powitać przedstawicieli Latimore'a.

- Jak długo czekali? - szepnęła Mattie. - Chyba nie sądzili, że przyjdziemy tu pieszo? Skąd wiedzieli, że przybywamy? Ile czasu czekali na nas?

- To właściwie nie ma znaczenia. Wódz dowiedział się o naszym przybyciu z ust zaufanych ludzi. Poza tym członkowie tego szczepu nigdy nie zastanawiają się nad pojęciem „jak długo”. Czekali aż do naszego przyjazdu, chyba że wódz wydałby inny rozkaz. To bardzo upraszcza życie, prawda? Popatrz no na te zwariowane domy!

Wszystkie chaty w wiosce były identyczne. Ściana z suszonej cegły spajała pięć okrągłych wież o stożkowatych, pokrytych słomą dachach. Każda wieża służyła do innych celów: jedna była sypialnią, inna - spiżarnią, jeszcze inna - pokojem dla dzieci, itd.

- Amepa nie ma łatwego zadania - zauważył Ryan. - Musi zbudować identyczny dom dla każdej z trzech żon. To dlatego członkowie plemienia mają tylko po jednej żonie. Chcesz wziąć prysznic?

- Pewnie, że tak - odparła Mattie. - Ale tylko pod warunkiem, że opuścisz ten dom.

Niespodzianka związana z prysznicem wkrótce się wyjaśniła. Część podwórza była wybrukowana. W ścianie powyżej zawieszono naczynie z wodą. Młoda dziewczyna za pomocą gestów nakazała Mattie rozebrać się, wejść pod naczynie, przechylić je, aż poleje się z niego woda, namydlić się, a potem splukać w ten sam sposób.

Mattie myślała z wyraźną przykrością o założeniu brudnego ubrania. Ten problem został jednak rozwiązany. Po kąpieli przekonała się, że jej odzież zabrano, zostawiając białą gallabiję, która zakryła Mattie od szyi po kostki u nóg. Jej pomocniczka („ubrana” jedynie w malowidła plemienne) zaprowadziła ją do sąsiedniego domu. Czekał tam na nią Ryan w zbyt europejskich, czerwonych szortach.

Wyglądał bardzo męsko. Dotychczas tego nie zauważyła. Był mocno zbudowany, ale nie miał ani grama zbędnego tłuszczu. Takich mężczyzn widuje się w reklamach kąpielówek. Mattie nie potrafiła się zdobyć na jakieś inteligentne określenie. Nigdy nie myślała dużo o tego rodzaju sprawach, gdyż brakowało jej czasu. Ale kiedy na niego patrzyła, poczuła, że czegoś ją pozbawiono, jakby przegapiła coś w okresie dorastania.

- Nasi gospodarze nie mogą zjeść z nami obiadu - powiedział Ryan. - Jesteśmy gośćmi woda, a on jest tylko lokalnym przywódcą.

Jedli ze wspólnej drewnianej miski, którą wypełniał lśniący biały ryż zmieszany z warzywami. Mattie rozpoznała wśród nich jedynie soczewicę, fasolę i cebulę.

- Bez mięsa? - zapytała.

- Nie figuruje w normalny jadłospisie - odrzekł. - Jeśli mieszkają w pobliżu rzeki, łowią ryby. Mięso jada się od czasu do czasu, przy wielkim święcie. Smakuje ci to danie?

- Jest wyborne, ale trudno mi wkładać je do buzi. Czy oni nie mają noża, widelca albo łyżki?

- Tylko dla zniewieściałych mężczyzn - odparł z powagą. - Powinnaś jeść prawą ręką, a właściwie trzema palcami. Wbijasz je w potrawę, ugniatasz małą kulkę i wpychasz ją do ust.

- Wcale się nie dziwię, że jedzą bez ubrań - stwierdziła po trzeciej próbie. - Właśnie upačkałam czyjaś szatę.

Umyła ręce, wytarła je w gallabiję i przeciągnęła się.

- Zmęczona? - zagadnął Ryan.

- Cholernie - przyznała.

- Nie chciałybyś się przespacerować przy świetle księżyca?

- Chyba nie - odrzekła. - Lepiej będzie, jeśli oszczędzę swoje stopy na jutrzejszy dzień. Przede wszystkim potrzebuję snu. Dokąd mam iść?

- To jest nasz dom - zaczął powoli. - Jest tylko jeden pokój do spania i mamy ze sobą tylko jeden śpiwór.

W świetle płonącego ogniska wydawało się, że łuki jego brwi mają w sobie coś diabolicznego, gdyż przypominały trochę rogi.

- Nic innego nie da się zrobić? - zapytała.

- Nie da się - potwierdził. - Poza tym ci dobrzy ludzie myślą, że...
- szukał właściwego słowa.

- Cóż... - zająknął się. - Powiedziano im o przybyciu wodza i jego kobiety, i...

- Dobrze, dobrze. Przypuszczam, że to ty jesteś tym wodzem?

- Masz rację - mruknął. - A ty jesteś moją kobietą! I nie sprzeczasz się ze mną!

- Kto się sprzecza? - zapytała łagodnie Mattie i udała się do chaty.

Kiedy zobaczyła ten sam podniszczony śpiwór, w którym po raz pierwszy spała na pokładzie parowca „Hurrija”, musiała zrobić kilka głębokich oddechów, by uspokoić nerwy. Sytuacja nie wydawała się aż tak zła, jak w trakcie tamtej nocy. Pogrążyła się w świecie fantazji. Dziwaczność tego wszystkiego, co się przydarzyło, stłumiła jej lęki. Niewiele się zastanawiając, rozsznurowała buty, odłożyła je na bok i wślizgnęła się do śpiwora.

Godzinę później dołączył do niej Ryan.

- Masz dość miejsca? - zapytała sennym głosem. Chrząknął coś w odpowiedzi i obrócił się do niej plecami. Po kilku minutach Mattie usłyszała miarowe oddychanie. Śpi, pomyślała. Śpi. Jak to dobrze. Okropnie byłoby siłować się z nim całą noc. Ale w rzeczywistości nie była tak bardzo zadowolona. Co prawda nie chciała wyczerpującej walki, ale mógłby przynajmniej zrobić małą próbę. Nim zdołała zanalizować swe emocje, zasnęła.

Ocknęła się o świcie. Leżała na lewym boku. Było jej ciepło i wygodnie. Ryan przytulił się do pleców dziewczyny, a jego ręka spoczywała na jej brzuchu.

Nie chciała go budzić odsuwając jego rękę. Poprzedni dzień był dla niego bardzo ciężki. Potrzebował wypoczynku. Ten argument brzmiał przekonywająco i pozwalał lekceważyć sygnały wysyłane przez jej ciało. Ale sumienie podpowiadało, iż przyczyna tkwi gdzie indziej. Musiała przyznać, że jej się to podoba.

- Zamknij się! - mruknęła do siebie. Ryan natychmiast się zbudził. Usłyszeli, jak kilka osób rozmawiało i chichotało na podwórzu. Potem dwie osoby wetknęły głowy przez drzwi chaty i wypowiedziały kilka słów.

- Śniadanie - przetłumaczył Ryan. - Dobrze się czujesz?

Mattie wyciągnęła rękę w jego kierunku, żeby się podeprzeć, i wrzasnęła natykając się na gołą skórę.

- Tak, dobrze się czuję - odrzekła, z trudem łapiąc oddech. Ryan uśmiechał się szyderczo i wygramolił się ze śpiwora. Nadal miał na sobie idiotyczne czerwone szorty.

W trakcie snu jej gallabija podwinęła się aż do bioder. Mattie nie zamierzała pokazywać całych nóg, zwłaszcza w blasku porannego słońca. Pomimo, iż nie spuszczała oczu z Ryana, on zdawał się ją ignorować. Mattie odnalazła swoje ubranie. Było uprane i starannie złożone. Buty wyczyszczono i nasmarowano jakąś substancją o słodkawym zapachu.

- Co teraz robimy? - zapytała po przełknięciu ostatniego kęsa

chleba z warzywami.

- To, co zwykle - odparł Ryan. - Jedziemy do Topari.
- Ale to musi być wiele kilometrów stąd!
- Około stu pięćdziesięciu - zgodził się.
- Nie mogę... - zaczęła, ale zacisnęła usta. Chcę powiedzieć, że nie mogę iść tak daleko na piechotę, pomyślała z goryczą. Ale wtedy on znowu rzucił tekst o małej kobiecie. Więc przejdę te sto pięćdziesiąt kilometrów.

Ryan sprawił jej niespodziankę.

- Będziemy jechali całą drogę - powiedział.
- Czym?
- Twój pojazd czeka - odparł ze śmiechem. Zrobił gest w stronę drzwi. Za nimi stał dwukołowy drewniany wóz, dwa zmęczone woły, pojemnik ze zjełczalym tłuszczem zwierzęcym do oliwienia osi oraz uśmiechnięty chłopczyk. Wokół zebrali się wszyscy mieszkańcy wioski, żeby pożegnać Mattie i Ryana.

- Jedziemy do Topari czymś takim?
- Tak. Załadowali go świeżą słomą, specjalnie dla nas.
- Ale my nigdy nie pokonamy tych stu pięćdziesięciu kilometrów!
- Zapewniono mnie, że te dwa woły są bardzo silne - odparł uroczyście Ryan. - Robią ponad piętnaście kilometrów dziennie, czyli czeka nas około ośmiu dni podróży. Kobiety mają dla ciebie podarunek. Uśmiechnij się.

Mattie uśmiechnęła się. Mieszkańcy wioski śpiewali, kiedy Ryan pomagał jej wejść na wóz. Woły wcale nie zwracały uwagi na chłopczyka i jego bat. W godzinę później nadal słychać było śpiew w wiosce. Mattie położyła się na słomie i zaśmiewała się z siebie, ze świata, z Ryana i ze wszystkich ambicji.

Pierwszego dnia z trudem przebyli kilkanaście kilometrów. Woły lały swoimi ulubionymi ścieżkami. Jedno z kół obluźowało się i trzeba było je zreperować.

- Nie wiedziałem, że umiesz gotować - powiedział Ryan, gdy

wieczorem siedzieli przy ognisku. - Ten chleb jest wspaniały.

- Oczywiście - przyznała z dumą. - Wszystkie dziewczęta w rodzinie Latimore'ów muszą nauczyć się gotowania, choć przyznam ci, że nigdy nie przyrządzałam chleba w ten sposób.

- W takim razie jak się tego nauczyłaś?

- Obserwowałam kobiety podczas śniadania i pomyślałam sobie, że podobnie robi się naleśniki. Z pewnością wołałabym sandwicza z wołowiną.

- To nieodpowiednie jedzenie dla ciebie. Najzdrowsza jest dieta wegetariańska!

- O, tak - westchnęła. - I nudna. Niezbyt daleko dziś zajechaliśmy.

- Zawsze tak jest przez pierwsze dwadzieścia cztery godziny. Jutro pokonamy większą odległość. Gdzie jest ten chłopak?

- Nakarmiłam go wcześniej. Poszedł do wołów. Czy masz pewność, że one są szybkie?

- Tak mi powiedziano - zapewnił ją. - Chyba nie sądzisz, że mieliśmy do czynienia z jedynym oszustem szczepu Masakin?

Mattie zaśmiała się odchylając głowę do tyłu. Wiatr rozwiewał jej śliczne blond włosy. Kiedy przestała się śmiać, Ryan spojrzał na nią osobliwym, wygłodniałym wzrokiem.

- Chciałabym znowu się wykąpać - powiedziała spokojnie.

- Nie ma prysznicu, ale jest wanna – przypomniał jej.

- Masz na myśli zagłębienie z wodą? Sądziłam, że może być czymś zanieczyszczone.

- Ależ nie, Mattie - odparł wymawiając jej imię bez dawnego sarkazmu. Teraz *wadi* jest wypełnione wodą deszczową. Czegóż więcej można sobie życzyć? Deszczówka wpływa przecież korzystnie na cerę.

- A mydło? - zapytała.

- Mamy pod dostatkiem.

- Szkoda, że nie wzięłam drugiej gallabiji. Chciałabym zachować porządne ubranie na przyjazd do Topari.

- Kobiety zapakowały ci kilka gallabij. I trochę ręczników oraz grzebień. Czego jeszcze byś chciała?
 - Cóż, tu jest otwarty teren, mogą mnie zaatakować dzikie zwierzęta. Chyba potrzebuję strażnika - odparła szeptem.
 - Jestem do dyspozycji - zaofiarował się.
 - Nie chodzi mi o to, żeby ktoś tam stał i patrzył, jak się kąpię - odrzekła pośpiesznie. - Nie chcę, żebyś...
 - Żebym sobie coś pomyślał? - przerwał. - Żebym wykorzystał kobietę-szefa?
 - Cóż - powiedziała przepraszającym tonem. - Chciałam tylko, żeby wszystko było jasne.
 - Oczywiście. Coś jeszcze?
- Udali się do *wadi*. Ryan uważnie się rozejrzał.
- Nic nie ma - zameldował. - Teren czysty. Możesz się kąpać.
 - Tak, jeśli tylko...
 - Już idę - zapewnił ją. Już idę.

Zniknął w ciemnościach. Nie miała zaufania ani do niego, ani do siebie. Żeby uzyskać pewność, zaczęła liczyć od stu do zera i dopiero potem rozebrała się i weszła do wody, która sięgała jej niemal do piersi. Namydliła ciało bardzo energicznie, jakby chciała zetrzeć myśli o Rynie Quinnie i nagich kobietach. Dwukrotnie mydło wyslizgnęło jej się z ręki, ale zdołała je wyłowić z wody.

Dziwne, pomyślała wychodząc na brzeg. Czuję się teraz lepiej niż kiedykolwiek. Wszystko jest takie zwyczajne. Życie przestało przypominać wyścig. Jadę do Topari i ważna jest jazda, a nie samo dotarcie do celu.

Mattie przeciągnęła się w blasku księżyca. Z jej pięknych jasnych włosów ściekała woda.

- Afrodyta - usłyszała czyjś męski głos. Obróciła się gwałtownie i wówczas ktoś owinął ją w bawełniany ręcznik podarowany w wiosce Moro.
- Ryan? - krzyknęła z przestraszeniem.
- A któż by inny?

Próbowała oderwać się od Ryana, ale on położył ręce na jej ramionach i trzymał ją bardzo mocno. Jedną ręką rozcierał plecy dziewczyny dotykając jej ramion i okrągłych bioder.

- Co robisz? - wyszeptała.
- Wycieram ci plecy. Cóż innego?

Nigdy w życiu nie czuła czegoś podobnego. Narastało w niej podniecenie, które trzeba było jakoś przezwyciężyć i to szybko. Wyszarpnęła się z jego ramion i z ręcznika. Stała w świetle księżycy, zakrywając dłońmi piersi w odwiecznym geście.

- Obiecałeś, że będziesz mnie pilnował.
- Robię to - zauważył. - Zgubiłeś swój ręcznik!
- Powiedziałeś, że... że będziesz się trzymał z dala ode mnie - jęknęła.
- Kłamałem - odrzekł ponurym głosem.

Mogła uciekać, krzyczeć, wpaść w szal. Ale stała nieruchomo, a jej mokre ciało przebiegały dreszcze z powodu powiewów zimnego nocnego wiatru. Ryan znowu przysunął się do niej i delikatnie owinął ją ręcznikiem.

- Lepiej? - zapytał wycierając jej włosy. Zbyt duża ilość doznań burzyła równowagę umysłową Mattie. Zmysły wysyłały zbyt liczne sygnały. Na tym właśnie polegał jej problem: nie była w stanie ich zinterpretować!

Ryan obrócił ją ku sobie i delikatnie przesunął ręcznikiem po jej piersiach. Teraz pojęła sens sygnałów. Oznaczały niebezpieczeństwo! Mattie oderwała się od Ryana, rozdierając przy tym mimowolnie ręcznik.

- Piękne — powiedział łagodnie i patrzył na jej małe, bardziej niż zwykle nabrzmiące piersi. Powtórzył to słowo, pocałował ją delikatnie w czoło i zrobił krok do tyłu.

- Załóż buty - ostrzegł Mattie po krótkiej chwili. - Można nadepnąć na przeróżne rzeczy.

Odwrócił się i zaczął iść w stronę ogniska.

- Buty - mruknęła, gdy już zdołała dojść do siebie. Usiadła na

stercie ubrań i wcisnęła obuwie na nogi. Drżała, ale nie z zimna. Założyła kolejną białą gallabiję, zebrała swoje przybory i przystanęła, by jeszcze raz spojrzeć na Iśniący w blasku księżyca pas wody. Miała wrażenie, że gwiazdy śmieją się z niej.

- Bóg jeden wie, ile uwiedzeń widziałyście - powiedziała z westchnieniem. - Pamiętaj, żeby zachowywać dystans między sobą, czyli szefem, a twoimi współpracownikami. Zdanie wprost z podręcznika firmy. Niech pana wszyscy diabli wezmą, panie Quinn!

RRS

ROZDZIAŁ SIÓDMY

O świcie zaczęli trzeci dzień podróży. Odnosili się do siebie z charakterystyczną oziębłością. Znowu padał deszcz. Chłopczyk, który był ich przewodnikiem, gdzieś się zapodział.

- Tam jest jego rodzinna wioska - pokazywał Ryan. - Za jakąś godzinę wynajmiemy przewodnika.

- Dziękuję, panie Quinn - powiedziała zimno Mattie.

- Panie Quinn? Po ostatniej nocy?

- Z powodu ostatniej nocy.

Wymościła sobie wygodne zagłębienie w słomie. Porzuciła je teraz, żeby podkreślić swą dezaprobatę, i przeszła na tył wozu. Deszcz padał mniej więcej przez dwie godziny. Ich wzajemna oziębłość trwała zaledwie dwa kwadransy.

- Posłuchaj, przepraszam, jeżeli... sprawiłem ci jakiś kłopot - powiedział Ryan.

Mattie tylko czekała na jego uwagę.

- To nie był żaden kłopot. Naprawdę nie. Zaskoczyłeś mnie, a ja, jak wszystkie istoty, wolę bronić się przed niespodziankami. I też byłam zakłopotana, jeśli chcesz wiedzieć.

Z trudem zmusiła się do uśmiechu.

- Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że masz dołączki - zauważył. - Wracasz do na przód wozu?

- Chyba tak. - Mattie wgramoliła się na swoje ulubione miejsce. Dostrzegła, że kiedy Ryan się uśmiecha, jest nawet przystojny! Z tą myślą ułożyła się na słomie i szybko zasnęła.

Zbudziła się w południe. Ryan siedział obok niej ze skrzyżowanymi nogami i gapił się na woły. Wciąż padał deszcz i zwierzęta zbuntowały się. Pomimo nawoływań zeszły z drogi, by paść się na sawannie.

- Południe. Pora na lunch? - zastanawiała się Mattie. Ryan zerknął na zegarek.

- Szósta - obwieścił z szyderczym uśmiechem. Mattie popatrzyła z obawą na swój niezawodny zegarek, który podarował jej ojciec.

- Nie przestawiaś go na miejscowy czas - powiedział pochylając się nad nią. Kiedy musnął ramieniem jej pierś, doznała chwilowego szoku. Nozdrza jej zadrgały. Wyczytała w jakimś artykule, że zapach stanowi jeden z najważniejszych czynników w życiu seksualnym ludzi. Teraz mogła to potwierdzić.

- Nastawiłam go według zegara w obozie w Kosti.

- W porządku, ale obecnie znajdujemy się w krainie Nuba, a tutaj czas mierzy się według słońca. Pierwszą godziną dnia jest brzask, potem mija jedenaście godzin, a zachód słońca to pierwsza godzina nocna.

- Ale w takim razie godziny nie są równe?

- Oczywiście, że są. Tylko kilka stopni dzieli nas od równika. Być może istnieje drobna różnica, jeśli chodzi o długość godzin, ale Masakinowie nie przejmują się tym, więc my też nie powinniśmy. A teraz, skoro jesteś szefem, a w królestwie Latimore'ów szef wykonuje brudną robotę...

- Chwileczkę - warknęła Mattie. - Królestwo Latimore'ów znajduje się daleko stąd. Jesteśmy partnerami na równych prawach!

- Cóż, w takim razie zrobimy losowanie, partnerko, i zobaczymy, które z nas będzie musiało iść na deszcz i przyprowadzić woły z powrotem na drogę.

- Chyba nie prosiłbyś kobiety, żeby wychodziła na taką burzę? - zapytała błagalnie.

- A! Nie jesteśmy równi - zachichotał Ryan. - Wiedziałem, że ta

sprawa wyjdzie na wierzch. Nie należysz do tych współczesnych feministek?

- Hm... - wahała się. - Należę i nie należę. Zgadza się z poglądami mojej matki. Jest przeciwna ruchowi równouprawnienia. Mówi, że nigdy nie przyzna, iż jakiś mężczyzna jest równie dobry jak ona!

- O, cholera. To jakaś ultrafeministka!

- Niezupełnie - westchnęła Mattie. - Sądzę, że kobiety i mężczyźni uzupełniają się. Jak moi rodzice.

- Wobec tego powiem ci, co zrobię - oświadczył Ryan. - Poświęcę się. Wyjdę na ten deszcz i błoto. Przemoknę, ale wóz znowu ruszy w drogę. Wszystko pod warunkiem, że zapłacisz mi za mój wysiłek.

Mattie spojrzała na niego ze zdumieniem. Coś knuł, lecz nie wiedziała, co.

- W porządku - zgodziła się z ociąganiem. Zeskoczył z wozu, a ona wyciągnęła się na brzuchu i obserwowała jego zmagania. Trudno było się nie śmiać, kiedy ciągnął i popychał woły, i udzielał im lekcji, co wiązało się z machaniem ramionami oraz wygrażaniem pięścią.

- Nie bij tych biednych zwierząt - krzyknęła. Zerknął na nią, zdobył się na ostatni wysiłek i woły zdecydowały, że przyszła pora ruszyć z miejsca. Po kilku chwilach Ryan wgramolił się na wóz. Z jego twarzy ściekała woda.

- Spójrz na mnie — narzekał szukając ręcznika. Po wytarciu włosów powiesił go na kołku i wyciągnął się obok Mattie.

- A teraz, moja śliczna...

- Co ty sobie u diabła... Hej, jesteś cały mokry!

- wykrzyknęła, kiedy wyciągnął ją z „gniazdka” i objął ramionami.

- Co ty, u licha, wyrabiasz?

- Biorę zapłatę.

- Ja... nie mam portmonetki - bełkotała. - Będziesz musiał... Nie

mogę zapłacić ci w tej chwili. Nie mam...

- Masz wszystko, czego potrzeba.

Nie było dokąd uciekać. Przygniatał ją swoim ciałem.

Przemoczona koszula uciskała piersi dziewczyny. Zamknęła oczy. Po co się opierać? Wiem, że tego pragnę. Myślę, że to tylko pocałunek. A poza tym najlepszą obroną jest atak.

Wyszarpnęła się z niedźwiedziego uścisku Ryana i objęła go rękami za kark. Wycofywał się, gdy nagle poczuł ucisk, gdyż Mattie usiłowała trzymać głowę w określonej pozycji. Pierwsze dotknięcie było wspaniałe. Przy ponownym kontakcie przypomniał Attyłę, wodza Hunów. Wydawało się, że Ryan chce zmiążyć jej miękkie usta, które nie miały nic przeciwko temu. Wreszcie przestał całować Mattie i odsunął się od niej.

Potrzebowała czasu, żeby zacząć normalnie oddychać i odzyskać typową dla panny Latimore równowagę. Ryan zdawał się czytać w jej myślach.

- Przypuszczam, że stanę się osobnikiem niepożądanym? - zapytał ostrożnie.

Mattie uraczyła go promiennym uśmiechem.

- Jeśli o mnie chodzi, to nie. Bawiłam się dobrze. A ty?

- Cóż, całkiem nieźle. Chciałaby pani powtórki! Dobrała słowa starannie, wiedząc, że zbliża się do przełomowego momentu.

- Chyba nie, panie Quinri. Dziewczyna może czerpać przyjemność z tego rodzaju rzeczy, w niewielkiej dawce. Nie chciałabym jednak żeby weszło mi to w nawyk. Ale rzeczywiście to mi się podobało.

- Rozumiem. Proszę do nas nie dzwonić. My zadzwonimy do pana?

- Mniej więcej tak - odparła. - Ale to nie oznacza, że nie możemy być przyjaciółmi.

- Najlepsza oferta, jaką miałem w tym tygodniu - odrzekł ze śmiechem i wzruszył ramionami.

Pewnie jedyna - pomyślała Mattie. Powinna wściec się na niego.

Naprawdę powinna. Więc dlaczego tego nie robi.

Znowu uśmiechnęła się do niego, położyła się na brzuchu i zapadła w drzemkę.

Wkrótce wynajęli nowego przewodnika na dalszą trasę - starego wojownika, którego imienia nie mogli się nauczyć. Ryan rozpałał ognisko każdego ranka i wieczoru, doglądał wołów, przewracał słomę w wozie, żeby nie pleśniała, i traktował Mattie w taki sposób, jakby był jej uprzejmym wujaszkiem. Z wyjątkiem momentów, kiedy jej dotykał. Oczywiście były to przypadki spowodowane małymi rozmiarami wozu. Ale każdy dotyk budził wspomnienia i sprawiał, że twarz Mattie płonęła z podniecenia przez cały dzień.

Następnego dnia szli obok siebie, z łatwością wyprzedzając woły.

- Bezpieczniej jest iść na czele, niż za nimi - drażnił Ryan.

Trzymali się za ręce jak nastolatki. Przy drodze natknęli się na małe żółte kwiatki. .

- Stokrotki - powiedział szybko i zerwał dwie roślinki.

Mattie wiedziała, że to nie były stokrotki. Ryan zaczął zrywać z nich płatki, powtarzając: „Kocha, nie kocha”, aż dotarł do ostatniego płatka.

- Kocha.

- No no, jak to zrobiłeś? - zapytała ze śmiechem.

- Policzyłem je przedtem i wyrzuciłem płatek, który mi nie pasował.

- Ale to oszustwo! - odparła.

- Wcale nie - upierał się. - Na wojnie i w miłości wszystko jest dozwolone!

Staął przed dziewczyną i patrzył na nią jastrzębimi oczami. Miłość i wojna. Z pewnością nie była to wojna, a zatem? Wyraźnie czekał, żeby coś powiedziała!

Nie dowierzała swym nowym uczuciom, toteż stwierdziła tylko, że woły zaczęły strajk, i skrzywiła się widząc, jak znika z jego twarzy uśmiech.

Zaczęli snuć opowieści. Ona - o przeżyciach w domu Latimore'ów,

on - o wypasie bydła w Teksasie i o tym, jak prowadził ranczo po śmierci ojca, jednocześnie studiując inżynierię.

- Zawsze chciałem wędrować - powiedział któregoś wieczoru. - Ale teraz - nie wiem. Czuję, że przyszła pora na zapuszczenie korzeni.

- To znaczy na powrót do Teksasu? - zapytała Mattie, która leżała obok niego na słomie.

- Prawdopodobnie - odrzekł. - Nie sędzę, żeby tobie spodobało się takie życie.

- Och, nie wiadomo. Swoje najlepsze lata spędziłam na farmie, kiedy ojciec ożenił się z macochą.

- Pierwszy raz o tym słyszę. To znaczy o macosze. Myślałem, że ona jest twoją biologiczną matką. Niedobra macocha?

- Ależ skąd - zaśmiała się Mattie. - Raczej matka chrzestna z bajki.

- A teraz jesteś inżynierem?

- Cóż, zdecydowały o tym okoliczności. Z wykształcenia jestem architektem, ale tata potrzebował kogoś do prowadzenia interesu. Któregoś dnia przejmie go mój brat Michael, ale on ma tylko dwanaście lat. Boże, wydaje mi się, jakby dopiero co był niemowlęciem!

- Na moim ranczo dziewczyna mogłaby poświęcić architekturze sporo czasu. Dużo miejsca, mnóstwo wygod.

- I Virginia - przerwała mu Mattie.

- Tak, Virginia - mruknął.

Po chwili milczenia poklepała go po nadgarstku i zeskoczyła z wozu, żeby zająć się kolacją. Udało jej się rozpać małe ognisko.

- Nabierasz wprawy - powiedział Ryan. - Powinienem był zauważyć, że pod tą śliczną skórą kryje się wiejska dziewczucha.

- Wynoś się! - odparła ze śmiechem Mattie.

- Umiem wyczuć pochlebstwo, nawet u kowboja z Teksasu. Jeszcze parę dni, a moja skóra tak się opali, że popęka. A od tego mydła osiwieją mi włosy! Boże, jak ja okropnie wyglądam.

- Mężczyźni lubią się zadawać z takimi okropieństwami - odrzekł chichocząc. Ścisnął ją za ramię.

Spędzali ostatni wieczór w drodze. W ciągu dnia mijały ich duże i małe grupy Masakinów podążające w jednym kierunku. Wojownicy, pasterze, kobiety, małe dzieci - wszyscy monotonicznie zawodzili i szli do Topari, gdzie miały się odbyć uroczystości.

- Myślę, że powinniśmy się tu zatrzymać na noc - powiedział Ryan. - W tym miejscu jest woda i dużo przestrzeni, których, jak podejrzewam, nie znajdziemy w pobliżu wioski.

- Ile kilometrów musielibyśmy przejechać jutro?

- Niewiele. Nasz przewodnik mówi, że sześć, siedem.

- Wobec tego zgadzam się w zupełności. Właściwie to nasza ostatnia noc w drodze. Nie czujesz się troszeczkę zdenerwowany?

- Troszeczkę - przyznał.

Po kolacji weszli na szczyt małego pagórka i czekali na wschód księżyca. Ryan przytulił ją, ona zaś opasała go ramieniem w talii.

- Przebyliśmy długą drogę - powiedziała łagodnie.

- Mniej więcej sto pięćdziesiąt kilometrów.

- Nie chodzi mi o to. Myślałam... wiesz, o czym.

- Tak, domyślałam się. Zmieniłaś się.

- I ty też, dzięki Bogu.

- No proszę, i kto robi przymilne uwagi?

Było ciemno, ale czuła, że uśmiechał się drwiąco.

- Jestem trochę... przestraszona tym, co może się stać.

- Z nami? Wszystko jakoś samo się ułoży.

- Nie - zaprotestowała - z tymi ludźmi. Masz jakiś pomysł na dogadanie się z nimi?

- Kilka mglistych wyobrażeń. Musimy zorientować się w sytuacji.

A co ty proponujesz?

- Nie jestem pewna, co należałoby zrobić. Trzeba zainteresować Masakinów przyszłością kolei.

- Daj sobie spokój z tym problemem - poradził jej.

- Chciałabym znowu sobie popływać. Myślisz, że to możliwe?

- Jasne. To miejsce nie jest zagłębieniem dla wody. To jest *ghor*.

- Co to znaczy *ghor*?

- Koryto rzeczne, które wysycha na pół roku - wyjaśnił. - Coś jak dopływ na pół etatu. Kiedy jest suchy, Sudańczycy budują tamę, wokół której osadza się zbita glina zatrzymująca wodę. Wraz z nadejściem deszczów *ghor* ulega wypełnieniu za tamą i szybko tworzy się rezerwuuar. Chodź, zanurzymy się w nim.

- Ja... ja nie przywozłam kostiumu kąpielowego - jąkała się.

- Nigdy nie pływałaś bez stroju?

- Tylko raz, dawno temu. Naprawdę nie masz pojęcia, jak silnie zakorzenił się we mnie kalwinizm.

- W takim razie trochę przytniemy te korzenie. Idź pierwsza. Ja sprawdzę, co robią woły, i wyszukam kilka ręczników.

Kiedy zniknął w ciemnościach, Mattie wahała się przez chwilę. Jesteś już dorosłą dziewczyną, powiedziała sobie. Zdecyduj się wreszcie!

Ryan wrócił po dziesięciu minutach. Zobaczył na brzegu jasną plamę znaczącą miejsce, na którym Mattie zostawiła swoje ubranie. Szybko się rozebrał i już chciał zanurzyć się w wodzie, kiedy wszedł księżyc, który oświetlił włosy Mattie oraz alabastrowe ramię pływaczki. Pomyślał, że widzi srebrzystą panią na srebrzystym morzu, i przez chwilę stał jak zaczarowany. Cóż ona ze mną wyrabia? pomyślał. Odetchnął głęboko i wszedł do sztucznego jeziora, by uzyskać odpowiedź.

Tym razem spali dosyć długo. Obudził ich tupot nóg i przejście procesji pielgrzymów. Mattie ostrożnie otworzyła jedno oko. Ryan obejmował ją ramieniem, a rękę położył na jej biodrze. Wmawiała sobie, że ostatniej nocy nic takiego się nie stało. Pływali, bawili się, on ją pocałował. Zaniósł do wozu. Wycierali się ręcznikiem - i to wszystko! Mógł mieć więcej, ale stało się inaczej. I cóż to może oznaczać.

Próbowała wstać w taki sposób, żeby się nie obudził, ale kiedy

tylko poruszyła lekko głową, otworzył oczy. Miała wrażenie, że budzi się u boku tygrysa.

- Co my tu mamy? - zapytał żartobliwie. - Dziewczyne?
- Pora wstawać - odrzekła beznamiętnie. - Podróż się skończyła.
- A, rozumiem. Kopciuszek za długo balował i powóz zmienił się

w dynię?

- W wóz z wołami - poprawiła, wyzwalając się z jego objęć.

Patrzył jak się ubierała, ale nic nie mówił. Charakterystyczna dla wyprawy swoboda i przyjemność ustąpiły miejsca powinnościom związanym z korporacją Latimore'ów. Mattie trafił żałobny nastrój. Jak gdyby coś umarło w blasku wczesnego poranka i nie miała pojęcia, czy i jak to coś ożywić.

Dotarli na szczyt ostatniego wzgórza o czwartej godzinie czasu miejscowego. W trakcie wchodzenia nie wypowiedzieli ani jednego słowa. Mattie obserwowała Ryana, jak poganiał woły. Ten człowiek wydawał się taki... nieprzystępny. A przecież nie mogła uwolnić się od myśli o poufałościach, na które zdobyli się w trakcie ośmiodniowej wyprawy w głąb kraju. Na pewien czas wyrzekli się szaleńczego wyścigu cywilizacyjnego. Udało im się wyłączyć z ogólnego zgiełku i stworzyć własny świat, w którym istnieli tylko oni, niebo i ziemia. A teraz ten świat się zawalił. Popatrzyła na siebie sądząc, że podróż ją odmieniła, ale to przypuszczenie się nie potwierdziło. Miała na sobie europejską odzież: beżową spódnicę, luźną kamizelkę i prawie białą bluzę. Jej śliczne jasne włosy przykrywał tropikalny hełm. Pomyślała, że gdyby nie woły, wszystko byłoby takie samo, jak na skwerku w Bostonie. Ale Mattie nie lubiła pograżać się w depresji.

- Czy ty zupełnie zgłupiałaś? - mruknęła do siebie. - Skwerek w Bostonie, cholera! Lepiej się rozejrzyj.

Tak też uczyniła. Akurat w tym momencie do wozu wrócił Ryan.

- Coś nie tak? - zapytał ponuro.
- Właśnie... śniłam na jawie - zająknęła się. - Spójrz na te tłumy!
- Nawet mnie to zadziwia - odparł. - Myślałem, że na

uroczystości i zebranie rady przybędzie kilkaset osób. Widocznie chodzi o coś znacznie ważniejszego. Tu jest chyba z osiem, dziewięć tysięcy ludzi!

- I ciągle napływają nowi - powiedziała rozgorączkowanym głosem. Pomimo obecności tysięcy pielgrzymów prawie nie słyszało się hałasu. W gruncie rzeczy najgłośniej skrzypiały drewniane koła wozu.

Zdyscyplinowani przybysze stanęli w centralnym punkcie wioski, na placu, który rozmiarami przypominał boisko futbolowe. Zostawili puste miejsce pośrodku, dla mężczyzny, którego głowę chroniły przed skwarem dwa parasole.

- Czegoś podobnego nie widziałam nigdy w życiu - oświadczyła zdenerwowana Mattie i przysunęła się do boku Ryana. Niemal bezwiednie objął ją ramieniem. - Trochę mną to wstrząsnęło.

- Nie martw się - dodawał jej otuchy. - Po tym, co przeszliśmy, cóż oni mogliby nam zrobić?

Mattie postanowiła zachowywać się beztrosko.

- Nie przypuszczasz, że są ludożercami?

- W tym zgromadzeniu ich nie ma - zapewnił ją.

- Kiedyś należeli do najstraszliwszych wojowników w Afryce, ale teraz są nieszkodliwą zgrają kiciusiów.

- O, z pewnością. I każdy z tych kiciusiów nosi wielką długą włócznię.

- Z tym mogą być kłopoty.

Uraczył ją charakterystycznym uśmiechem..

- Jesteś bardzo smakowitym daniem, Mattie.

Po raz pierwszy tego dnia wypowiedział jej imię. Sprawilo jej to przyjemność i zapragnęła odwzajemnić się komplementem.

- A ty jesteś bardzo uprzejmym mężczyzną. Ryan - powiedziała i spuściła wzrok.

- No, no - odrzekł powoli. - To pierwszy prawdziwy komplement dla mnie.

Nadal uparcie odwracała od niego oczy.

- I widzę tutaj pierwszą całkowicie ubraną kobietę! Mattie nigdy nie umiała przewyciężyć ciekawości.

Natychmiast rozejrzała się i stwierdziła, że Ryan ma rację. W środku tłumu stała młoda dziewczyna. Była ubrana w spódnicę i bluzę. Nie miała na nogach butów, ale na jej szyi wisiał łańcuszek z krzyżykiem!

- Chrześcijanka? - zapytała zdumiona Mattie.

- Tak, a w dodatku czeka na nas.

Ryan zeskoczył z wozu niczym wytrenowany atleta. Mattie uczyniła to niezgrabnie, gdyż zeszywniała po długiej jeździe.

- Latimore - zawołała do nich dziewczyna. Wymawiała to nazwisko „Lejtimor”, ale uśmiechała się bardzo przyjaźnie.

- Tak, Latimore - powiedział Ryan, naśladując jej sposób wymawiania.

- Nazywam się Meriam - powiedziała i wyciągnęła rękę. Jej angielszczyzna była nienaganna i pobrzmiwał w niej uroczy akcent wyższych sfer.

- Ponieważ mówię po angielsku, wódz polecił mi, żebym została waszym... tłumaczem? Czy to właściwe słowo?

- Tak, właściwe - potwierdził Ryan. - A to jest...

- Twoja kobieta? - przerwała Meriam. - Chodźcie. Zostawcie te zwierzęta. Wszystko jest już gotowe.

- Ee... tak, Mattie jest moją kobietą - powiedział Ryan.

Moglibyśmy się wyrażać w mniej pompatyczny sposób, pomyślała Mattie. Moja kobieta, dobre sobie!

- Ale ty jesteś przecież młoda! - powiedziała Meriam i popatrzyła ze zdumieniem na Mattie. - I taka nieszczęśliwa!

- Nie rozumiem.

- Ja też - ciągnęła Meriam. - Ale ja nie mam mężczyzny, musisz mnie zrozumieć.

- Nie, nie rozumiem - odparła ze śmiechem Mattie.

- Taki jest obyczaj - wyjaśniła Meriam. - Młoda kobieta, która wychowuje się w domu ojca, ma swoje imię. Na przykład ja

nazywam się Meriam. Kiedy wybiorę mężczyznę, już nie będę się tak nazywać, ale zostanę kobietą Meczaka albo mężczyzny o jakimś innym imieniu. Ale gdy urodzę pierwszego męskiego potomka, otrzymam imię na całe życie. Będą o mnie mówić: matka Czedy (Czeda to imię, które wybrałam dla mojego pierwszego syna). A więc ty jesteś Mattie. Lecz powinnaś się nazywać kobietą Latimore'a.

W trakcie tych wyjaśnień prowadziła ich przez tłum, który rozstępował się przed nimi.

- Tak wygląda równouprawnienie kobiet - szepnął Ryan.

- Powiedz jej - odparła gniewnie Mattie - że to ja nazywam się Latimore, a nie ty.

- Co? I mam wywołać zamieszki? Pamiętaj, kobieto Latimore'a, że to ty wszystko wymyśliłaś!

- Ach, ty... - Mattie miała zamiar przywołać go do porządku, kiedy dwóch rosłych Masakinów stanęło za jej plecami i chwyciło ją za ramiona. Dwójka innych wojowników zajęła się Ryanem. Była tak przerażona, że nie mogła wydusić z siebie ani jednego słowa. Meriam zauważyła jej minę i przyszła z pomocą.

- Nie ma się czego bać - powiedziała spokojnie. - Wódz przyjmuje ambasadorów z innych szczepów. Jako przedstawiciele rodu Latimore'ów, zostaniecie przyjęci, ale na samym końcu, rozumiecie. Strażnicy to formalność. Nikomu nie wolno zbliżyć się do wodza z nieskrępowanymi rękami. Taki jest zwyczaj.

- Ryan, boję się - wygadała się Mattie.

- Nie powinnaś się martwić - pocieszał ją. - Zaopiekuję się tobą.

- Oczywiście - powiedziała szcękając zębami. - Ty jeden przeciwko piętnastu tysiącom.

- Przesadzasz - odparł z chichotem. - Tu nie może być więcej niż pięć, sześć tysięcy ludzi.

- Dlaczego nie wzięłaś strzelby? - warknęła. - Przynajmniej mielibyśmy jakąś szansę!

- Raczej nie. Nie mam żadnych naboju. No, Mattie, głowa do

góry.

- Tak, głowa do góry - odparła ze złością. - Łatwo ci powiedzieć! Popraw mi nastrój albo się zamknij!

- A co powiesz na to? - zagadnął śmiejąc się.

- Mattie Latimore, kocham cię!

Odwróciła głowę tak gwałtownie, że zleciał jej kapelusz. Jej oczy zrobiły się wielkie niczym spodki i natychmiast wypełniły się łzami.

- O rany - mruknął. - Nie sądziłem, że poczujesz aż takie obrzydzenie!

- Nie powinieneś kłamać tylko dlatego, że przebywam z dala od domu i śmiertelnie się boję!

- Ja kłamię? - powtórzył Ryan. Wszyscy ludzie dookoła wlepili w niego wzrok. - Nie okłamuję cię, Mattie - powiedział nieco ciszej. - Meriam, powiedz tym gorylom, żeby mnie puścili, to dowiodę, że mówię prawdę.

Dziewczyna śmiała się z nich.

- To niemożliwe - oświadczyła. - Nie można tego zrobić, ponieważ uroczystość już się rozpoczęła. Oboje wyglądacie... och, brakuje mi słowa. Wielu rzeczy jeszcze nie umiem wyrazić po angielsku. Studiowałam w chrześcijańskiej szkole w Dżuba i misjonarze nie uczyli nas wielu słów.

- Mówisz znakomitą angielszczyzną - powiedziała stanowczo Mattie. - To tylko on jest kłamczuchem!

- Czego to mężczyzna nie zrobi, żeby zdobyć pożądaną kobietę? - odparła Meriam.

Wszystko wydaje się takie proste, pomyślała Mattie. Filozofia w najdalszym zakątku Afryki? A jednak ta dziewczyna mówi z taką pewnością. Chyba nie ma nawet szesnastu lat. Dlaczego wie o... tych rzeczach znacznie więcej niż ja?

- Teraz wasza kolej - powiedziała cicho Meriam. - Idźcie z wojownikami, nie wykonujcie gwałtownych ruchów. Wyprostujcie się. Pochylcie głowy, kiedy zobaczy was wódz. Czy chcecie coś mu przekazać?

- Co mu przekazać? - Ryan przypomniał sobie grzecznościowe formuły. Obserwował poprzedzających go ambasadorów i uznał, że pozdrowienia stanowią jedynie formalność.

- Powiedz wodzowi, że ród Latimore'ów przybywa z za Wielkiej Wody z przyjaznym pozdrowieniem.

- O! - zareagowała z przytłumionym chichotem.

- To znaczy ze Stanów Zjednoczonych? Z jakiej części? W mojej szkole mieliśmy wiele lekcji geografii.

- Z Teksasu - mruknął Ryan.

- Z Teksasu - zastanawiała się Meriam. - Wielka kraina, ten Teksas. Mnóstwo bydła!

Dalsza konwersacja była niemożliwa. Strażnicy zaczęli ich prowadzić po wytyczonej, wąskiej ścieżce, która wiodła od miejsca prezentacji. Szli wolno, toteż Mattie mogła się skoncentrować na stojącej przed nimi postaci. Wódz należał do szczepu Masakin Tiwal odznaczającego się wysokim wzrostem. Rozsiadł się na drewnianym tronie, który znajdował się na metrowym podwyższeniu. Z tego miejsca wódz wydawał się ogromnie wysoki. Był chudy i naznaczony licznymi bliznami. Nosił hełm z piórami, przydający mu imperialnej godności. Poza tym nie miał na sobie niczego. Określenie jego wieku było niemożliwe. U jego stóp siedziała rozłożysta kobieta, którą ozdabiały plemienne malunki. Spoglądała to w jedną, to w drugą stronę, jakby była majordomem tego spotkania.

- Jak to się dzieje, że nie trzymają za ręce ciebie, Meriam? - zagadnął Ryan, gdy w kolejce przed nim stały już tylko dwie osoby.

- Mnie? - zapytała szeptem dziewczyna. - Przecież jestem córką wodza. Pamiętajcie, żeby się nie odzywać.

- Ale ja znam kilka słów w języku Masakinów - zaprotestował Ryan.

- Rób to, co ci mówi ta pani - mruknęła półgłosem Mattie. - Zamknij się, Ryan!

- Lubisz rozkazywać, co?

- Cicho - przerwała Meriam. - Teraz kolej na mnie.

Wysunęła się przed nich i rozpoczęła głośne przemówienie. Nieco senny wódz wyprostował się na krześle. Na twarzy siedzącej u jego stóp kobiety pojawił się ciepły, wieloznaczny uśmiech.

- Co ona mówi? - szepnęła Mattie do Ryana.

- Właśnie robi z nas wielkie figury - odparł cicho.

- Opowiada o rodzie Latimore'ów, który pochodzi z wielkiego Teksasu - krainy obfitującej w bydło. A teraz dodaje parę kłamstw na temat tego, jak ogromne są nasze tereny, i że przebyliśmy tak długą drogę, żeby się pokłonić wodzowi Artafiemu.

Mattie pomyślała, że musiała to być wspaniała oracja. Wódz pomachał im ręką w geście uznania, a kobieta dwukrotnie zaklaskała, co natychmiast podchwycił tłum. Kiedy klaskanie ucichło, wojownicy chwycili Ryana i Mattie za ramiona i pociągnęli ich w stronę zgromadzenia.

Po wydostaniu się z tłumu wojownicy puścili ich, jak gdyby przestali się nimi interesować. Jakiś starszy człowiek szepnął Meriam kilka słów. Dziewczyna zaśmiała się.

- Co? - zapytał z niepokojem Ryan.

- Prezentacja była wielkim sukcesem - oznajmiła. - Miałam was zaprowadzić do obozowiska w pobliżu wioski. Teraz moja matka nakazuje ci pójść do chaty w zagrodzie wodza. A jeśli chodzi o ciebie, Mattie, moja matka przyjmie cię w swojej chacie dziś wieczorem, wraz z innymi kobietami.

- Ho, ho - westchnął Ryan. - Cóż, ostrzegałem cię, Kopciuszku. A teraz masz audiencję u królowej!

- Wielkie nieba - jęknęła Mattie. - Co ja powiem?

- Nie martw się - poradził jej.

- Nie martw się? - przedrzeźniała go. - Nie martw się? Niech cię diabli, Ryani Quinn. Jak zechcę, to będę się martwić!

ROZDZIAŁ ÓSMY

Jak wyglądam?
Mattie obróciła się przed Ryanem. Spódnica i bluzka, które zniknęły z chaty w południe, zostały przyniesione o zmierzchu. Były znakomicie uprane i starannie złożone.

- Bardzo apetycznie - stwierdził Ryan, siedząc ze skrzyżowanymi nogami na twardym klepisku. - Na pewno zwalisz ich z nóg. Denerwujesz się?

- Jeszcze jak! - wyznała. - Co ja mogę powiedzieć?

- Cholera, nie wiem. Pomogliby nam chyba tylko wówczas, gdyby stali się właścicielami tej kolei.

Właścicielami kolei? Mattie usiłowała oswoić się z tą myślą.

- Ale kolej jest własnością rządu - odparła cicho, próbując coś wymyślić.

- Tak - odrzekł. - Ale rząd twierdzi również, że posiada całą ziemię, a jednak nie powstrzymuje to ludzi przed jej wykorzystywaniem. Zrób jeszcze jeden obrót. Lubię go oglądać.

- W ten sposób? - zagadnęła z uśmiechem. Stanęła na palcach, obróciła się dwukrotnie. Pomyślała, że lekcje baletu, do których zmuszała ją matka, przyniosły przynajmniej tę korzyść, i zapragnęła powtórzyć ewolucję.

I natychmiast tego pożałowała. Poślizgnęła się przy trzecim piruecie, bezskutecznie usiłowała odzyskać równowagę i zatoczyła się na Ryana. Zadarta spódnica odsłoniła jej długie, szczupłe nogi.

- No, proszę - powiedział. - Manna z nieba!

- Nie bądź głupi - odparła zadyszana. Zaczęła się podnosić, ale on przytrzymał ją w uścisku. Świdrował ją nieprzyjemnym spojrzeniem. Przez chwilę walczyła ze sobą, a potem rozluźniła się, jak gdyby opór był tylko formalnością.

- Myślałem, że cię rozumiem - mruknął. - Widzę, jaka jesteś na zewnątrz, ale nie mam pojęcia, co się dzieje w tej twojej głowie.

- Ja chyba też siebie nie rozumiem - odparła z westchnieniem. - Dotychczas było inaczej. Od momentu, gdy skończyłam trzynaście lat, moje życie przebiegało według planu. Nie było w nim miejsca na kogoś, kto nazwa się Ryan Quinn. Nie było. Co ty ze mną zrobiłeś?

- To ja powinienem zadać takie pytanie.

- Wtedy, na placu, mówiłeś poważnie?

- Co powiedziałem?

- Powiedziałeś... ja...

Była zbyt zakłopotana, żeby przytoczyć jego słowa. Zresztą, skoro ich nie pamiętał, nie mógł traktować ich serio. Ot, kolejne niewinne kłamstewko. Pragnęła zdobyć się na odwagę. Zacisnęła wargi.

- Jeśli chodzi ci o słowa „kocham cię” - szepnął - to mówiłem wtedy zupełnie poważnie.

- Wtedy tak? To znaczy, że teraz już nie?

- Czas już iść.

Przez otwarte drzwi weszła Meriam. Gwałtownie się zatrzymała.

- Och - powiedziała. - Nie chciałam wam przeszkadzać. Proszę, wybaczcie mi.

- W niczym nie przeszkodziłaś - odrzekła cierpko Mattie. - W niczym. Mój... eee... mężczyzna cierpiał na niedowład w buzi. Jestem gotowa.

- To brzmi okropnie - stwierdziła ze smutkiem młoda Masakinka. - Czy ta choroba wpływa również na bydło?

- Nigdy - odparła Mattie. - Dotyka tylko mężczyzn.

Kiedy wychodzili, usłyszała za plecami, jak Ryan usiłuje stłumić przekleństwa. Poczowała odrobinę satysfakcji.

W centrum wioski zapłonęły pochodnie. Meriam wzięła ją za rękę i zaprowadziła do jednego z dwóch pomieszczeń, które całkowicie się różniły od chat z wieżyczkami. Był to długi, niski budynek ze słomianym dachem, który piął się na wysokość kilkunastu metrów.

- W tym domu zbierają się mężczyźni - powiedziała Meriam pokazując im drugi, większy budynek, liczący sobie ponad trzydzieści metrów długości.

- Pochyl głowę. Mówi się, że wejście jest niskie, żeby zaakcentować pokorę.

- Kobiety nigdy nie wchodzi do tamtego budynku?

- Nigdy. Chodź.

Znajdowały się w małym pomieszczeniu zewnętrznym. W korytarzu zwisała przed nimi płócienna płachta. Było to jedyne zakryte przejście, jakie zobaczyła Mattie w wiosce Masakinów. Po obu stronach wejścia siedziały, niczym strażniczki, dwie kobiety pykające z małych fajek. Meriam przystanęła, by zdjąć bluzkę, po czym, nie oglądając się na Mattie, ruszyła wzdłuż płóciennej płachty.

Powietrze w środku było rozgrzane. Pod strzechą gromadziły się kłęby dymu. Pokój wypełniały kobiety różnego wzrostu i sylwetki. Większość z nich paliła fajki. Pośrodku płonął malutki ogień. Na stercie poduszek, siedziała ta sama tęga, pełna wdzięku kobieta, którą widzieli u stóp wodza podczas uroczystości.

- Chodź - ponaglała Meriam. - Rób to, co ja. Kiedy przechodziły wokół ogniska na oczach licznej i zaintrygowanej widowni, Mattie poczuła, że rumieni się z zakłopotania. Z tłumu dawał się słyszeć syk dezaprobaty. Meriam zatrzymała się na kilka kroków przed żoną wodza, padła na kolana i schyliła głowę. Mattie poszła niezdarnie w jej ślady. Była dość zwinna, ale nie przywykła do takiej pozycji. Ukłon przyszedł jej z łatwością - pragnęła uniknąć tych świdrujących oczu. Po chwili milczenia Meriam powiedziała coś szybko w języku Masakin. Znowu nastąpiła cisza, następnie zaś żona wodza udzieliła krótkiej i ostrej odpowiedzi. Tłum ożywił się. Meriam obróciła się i

spojrzała na Mattie.

- To moja wina - stwierdziła. - Powinnam była to zauważyć. Wielka Władczyni zapytuje, dlaczego ją obrażasz przybywając w ubraniu, które zakrywa serce?

- Chodzi ci o to, że ja...

- Rozejrzyj się - poradziła Meriam. Wszystkie kobiety w chacie, chyba ponad sto, były nagie.

- To znaczy, że mam zdjąć... wszystko?

- Nie wszystko - odrzekła ze współczuciem Meriam. - Tyle, co ja. Ona musi ujrzyć twoje serce.

- Ładne rzeczy - westchnęła Mattie. - Cóż, sądzę, że są tutaj tylko kobiety.

- Wyłącznie.

- Powiedz tej...ee... Wielkiej Władczyni, że wszystko wynikało z niewiedzy, a nie z zamiaru obrażenia jej.

Mattie zaczęła rozpinać guziki. Zapomniała o nałożeniu kamizelki, a pod bluzką nie miała niczego. Kiedy ściągnęła ją przez głowę, po sali przeszedł kolejny szmer. Mattie przysiadła na piętach i popatrzyła prosto w oczy żony wodza. Kobieta przez chwilę lustrowała jej twarz, skinęła głową i wyrzekła jakieś słowa.

Mattie wyczuła w nich współczucie i uprzejmość, i odetchnęła, dopóki nie usłyszała ich przekładu.

- Wielka Władczyni mówi, że nie zdawała sobie sprawy z tego, iż kobieta Latimore'a jest biała na całym ciele. Gdyby o tym wiedziała, nigdy by nie zażądała od ciebie odsłonięcia przed wszystkimi całej swej brzydoty. Błaga cię o wybaczenie. Jeśli chcesz, możesz z powrotem założyć bluzkę.

- Nie - odparła Mattie i wyprostowała się. - Trzeba zobaczyć serce, żeby usłyszeć prawdę.

- Jakaś ty mądra - szepnęła Meriam. - Znasz rytuał?

Mattie potrząsnęła głową. Kiedy Masakinka przetłumaczyła jej słowa żonie wodza, ta ostatnia uśmiechnęła się szeroko, a sala zareagowała aplauzem. Punkt dla rodu Latimore, pomyślała Mattie.

Żona wodza znowu coś powiedziała. Kobiety w pomieszczeniu skinęły głowami, a Meriam szukała właściwych słów.

- Wielka Władczyni powiedziała, żebyśmy rozmawiały mniej oficjalnie. Mówi o potędze szczepu Latimore'ów. Widziała obóz w Kosti. Jest tam wielu silnych mężczyzn, których wspierają... tysiące maszyn.

Dziewczyna znowu zrobiła pauzę.

- Z liczebnikami jest ciężko - wyznała. - Nie mamy określenia dla liczb powyżej stu. Chyba zrozumiesz? Prosi cię o napisanie nazwy twojego szczepu po angielsku, żeby wszyscy mogli ją zobaczyć.

Na twarzy Mattie pojawił się łobuzerski uśmiech. Pomyślała, że nie jest tak ciężko. Pisała patykiem na twardym klepisku. Wszystkie głowy pochyliły się ku Mattie i Meriam.

- Twoja matka sądzi, że obóz w Kosti jest duży? - zapytała ostrożnie Mattie.

- Tak. Moja matka nie podróżowała zbyt wiele. Coś nie tak?

- Niezupełnie. W gruncie rzeczy obóz w Kosti należy do najmniejszych, jakie posiada szczep Latimore. Mamy osiemdziesiąt dziewięć innych obozów na całym świecie i wszystkie są większe od tego w Kosti.

- Czy to prawda?

- Przysięgam, że tak - odparła Mattie i zrobiła zrozumiały dla wszystkich gest. W pokoju zapanowała zupełna cisza. Żona wodza powstała i przesunęła się o krok do przodu.

- Moja matka pyta, czy tam jest wiele maszyn.

- Tysiące - zapewniła Mattie.

- Nie umiem tego wyrazić - stwierdziła Meriam. - Może... tyle, ile gwiazd na niebie?

- Tyle, ile gwiazd na niebie.

Dziewczyna potrzebowała zadziwiająco dużej ilości słów, żeby przetłumaczyć to, co powiedziała Mattie. Kolejne przemówienie władczyni trwało kilka minut. Twarz Meriam wyrażała zdumienie.

- Moja matka mówi... Kiedyś byliśmy potęgą. Wodzowie

szczepu Masakin zasiadali na tronie faraonów. Czterokrotnie wypędzono nas z naszych ziem. Niegdyś wodzowie zdecydowali o wycofaniu się do ziemi Nuba, żeby zachować naszą kulturę. Moja matka mówi, że rada zbiera się w celu rozstrzygnięcia, czy był to błąd. Czy nie powinniśmy przeć naprzód, jak Nuerzy, i zdobywać maszyny, i znowu władać tak, jak należy. Jeśli tego nie uczynimy, zostaniemy zgnieceni i ulecimy z wiatrem na podobieństwo liści.

Cisza wisiała w powietrzu jak dym, jak myślowy miazmat unoszący się nad stłoczonymi kobietami. Część z nich czuła się niepewnie. Niektóre młodsze kobiety uśmiechały się i potakiwały. Reszta milczała. Żona wodza znowu zadała pytanie.

- Moja matka prosi, żebyś określiła swą pozycję w szczepie Latimore'ów i pozycję twojego mężczyzny.

Oho, zmiana tematu. Po wielkich zasadach mniej ważne drobiazgi. Jaka jest jej pozycja? I pozycja jej mężczyzny? Chyba dostałyby apopleksji, gdyby się dowiedziały. Ale można się przecież przechwalać!

Powstała, podobnie jak żona wodza.

- Powiedz matce, że jestem córką domu.

- Nie rozumiem tego słowa - stwierdziła Meriam, odzyskawszy głos. - Córką domu?

- To znaczy... hm, mój ojciec jest wodzem Latimo-re'ów.

Wodzem szczepu. Ja jestem jego córką.

Meriam roześmiała się od ucha do ucha i powtórzyła kilkakrotnie nowe wyrażenie.

- Córką domu? Tak jak ja, kobieto Latimore'a. Jestem córką domu Masakin!

Zaklaskała w dłonie i szybko przetłumaczyła jej słowa. Wśród zebranych dał się słyszeć szmer. Żona wodza przesunęła się na bok i zamachała ręką.

- Moja matka mówi, że zawsze będziesz mile widziana, i w dowód uznania dla twojej godności zaprasza cię, żebyś usiadła razem z nią.

Mattie pomyślała, że siedzi tu na wpół naga, tysiące kilometrów od domu, i ma mieć godność? Ależ tak! Wszystkie te kobiety ją mają. Nie potrzebują w tym celu ubrań albo majątku!

Siedząc obok żony wodza, czuła się inaczej, niż kiedy klęczała pośrodku pokoju niczym owad pod mikroskopem naukowca. Powoli wszystko stawało się nierealne. Twarze wydawały się rozmazane i odległe. Miała wrażenie, że nie słyszy już głosu Meriam i rozmawia bezpośrednio z Wielką Władczynią.

- Posłuchaj. Mój wielki przodek był faraonem w Egipcie. Jego córka była następczynią. Mężczyzna mógł zostać przywódcą tylko dzięki małżeństwu z córką faraona. I tak jest u nas do dziś. Mój ojciec był wodzem. Potem wodzem został Artafi, bo go wybrałam i zawarłam z nim małżeństwo. Moi synowie nie zostaną wodzami. Następcą Artafiego będzie mężczyzna, którego wybierze moja córka. Teraz rozumiesz?

Czy nie taki jest zamiar Ryana? Ożenić się z córką szefa? pomyślała Mattie. Zrobiło jej się niedobrze. Wzięła kubek i wysączyła mocny napój.

- Szkoda, że jesteś taka brzydka. Ten kolor - musisz chyba czuć zakłopotanie?

- Próbuję go ukrywać - odparła z uśmiechem Mattie i przyjęła kolejny pełny kubek.

- Coś dałoby się zrobić. Możemy zaofiarować ci znak serca!

- A cóż to takiego? - zapytała Mattie. Meriam odwróciła się.

- Popatrz - na moim ramieniu - powiedziała. Na jej ramieniu widać było szramy i koliste blizny.

- To znaki mojego szczepu - wyjaśniła. - Nad sercem, bo symbolizują więź.

- Hej, nie chcę, żeby mnie dziurawiono! - zaprotestowała Mattie wychylając naczynie do dna.

- Wcale tego nie chcemy - pisnęła radośnie Meriam.

- Jesteś na to za stara. Chodzi o... tatuaż? Czy to właściwe słowo?

- Tak. Nie mam nic przeciwko małemu tatużowi - zgodziła się Mattie. - Czy to pomoże?

- Dzięki niemu staniesz się członkiem naszego domu. Chcesz?

- Dlaczego nie? - odparła Mattie czując przyływ sztucznej odwagi.

- Ale nie mówisz nam o twoim mężczyźnie - upierała się matka Meriam. - Kiedy umrze twój ojciec, on będzie wodzem Latimore?

Mattie usiłowała zebrać myśli. Jedno nieodpowiednie słowo mogło popsuć cały efekt.

- To jeszcze nie jest ustalone - odpowiedziała ostrożnie. - Mój mężczyzna jest z... Teksasu. Posiada wiele bydła - setkę setek.

- Aha. - Czarna matrona skinęła głową. - Nie ustaliliście jeszcze ceny narzeczonej. Rozumiem, że nie będzie to łatwe, gdy rozmawiają ze sobą dwa tak wielkie szczepy. Meriam, nalej naszemu gościowi jeszcze jeden kubek!

Narada kobiet ciągnęła się przez pięć godzin, aż do późna w nocy, a potem trzeba było wezwać doktora. Kiedy Mattie oprzytomniała, stwierdziła, że siedzi na pustym stole, w okrągłej chatce z dala od obozu. Obok stał pomarszczony, bezzębny staruszek i uśmiechał się do niej. Znajdowała się tam również zaniepokojona Meriam.

- Zrobiło ci się niedobrze - wyjaśniła. - Wszyscy się śmieli. Wypiłaś dużo piwa. To jest Maszoto - nasz... doktor.

- Dobry Boże - wykrzyknęła Mattie. - Znachor?

- Niezupełnie - odparł nienaganną angielszczyzną. - Miałem praktykę w Kairze. Ale nie czuję się obrażony. Mój ojciec był znachorem i sądzę, że znał się na medycynie lepiej ode mnie. Upiększają cię, co? Na wszelki wypadek zdezynfekujemy to miejsce odrobiną alkoholu. Śliczny wzór.

Nagle Mattie uświadomiła sobie, że jest naga, i szybko zakryła piersi. Doktor zaśmiał się.

- Zrobiłem płukanie żołądka. Czujesz się lepiej?

- O, mój Boże - westchnęła. - Ale narobiłam kłopotu, co?

- Wcale nie - zapewniła ją Meriam. - To było bardzo zabawne.

Wszyscy o tym mówią. Moja matka jest dumna, że cię poznała. Jutro znowu z tobą porozmawia - tylko z tobą.

Nagle z tyłu dobiegł Mattie jakiś hałas - najpierw chrobotanie, a potem czyjś głos.

- Co to jest? - zapytała, właściwie znając już odpowiedź.

- Telegraf w dżungli - odparł z chichotem doktor. Mattie spojrzała mu przez ramię i zobaczyła mały nadajnik radiowy zasilany na baterie, z nalepką firmy Panasonic.

- Teraz wracaj do swojego mężczyzny - poradził doktor. - Odpocznij, prześpij się. Jutro może cię boleć głowa i trochę ramię. Weź dwie aspiryny. Żadnych wzruszeń!

Z pomocą Meriam zdołała zejść ze wzgórza i dojść do chaty, którą przyznano jej mężczyźnie Latimore.

Mattie powoli i ostrożnie otworzyła jedno oko. Leżała na wznak w śpiworze. W chacie zebrało się wokół niej sześć albo siedem kobiet w wieku od szesnastu do sześćdziesięciu lat. Chichotały. Odwróciła głowę, żeby lepiej widzieć, i natychmiast pożałowała tego ruchu.

- Boli cię głowa, co? - zagadnął Ryan, który stał za nią.

Nauczona doświadczeniem, tym razem obniżała głowę stopniowo, by w końcu opaść na poduszkę.

- Aspiryna -jęknęła. - O Boże, co ja...

- Podpiłaś sobie - zachichotał.

- Nie mów tak głośno. Aspiryna. Doktor dał mi trochę aspiryny. Nie rozumiem...

- To było piwo z prosa - powiedział. - Połowa starszych kobiet czuje się kiepsko. Miejmy nadzieję, że nabawiłaś się tylko kaca. W tych okolicach nie pasteryzuje się piwa.

- Nie musisz się tak z tego cieszyć - powiedziała z wyrzutem. - Co tutaj robią ci wszyscy ludzie?

- Przyszli żeby cię obejrzeć. Po obozie krąży pogłoska, że jesteś zupełnie biała!

- O Boże - szepnęła. - Każ im się wynieść!

Ze złości zapomniała o swoim stanie i usiadła. Poczowała zawrót w

głowie. Kobiety pisnęły z uciechy, ale Ryan wygonił je i przytrzymał obiema rękami głowę Mattie.

- Wiesz, one mają rację - stwierdził. Próbował zachować powagę, ale dusił się ze śmiechu. - Ty naprawdę jesteś biała na całym ciele.

Mattie spojrzała na siebie i dopiero po chwili uświadomiła sobie, że jej wdzięki są wystawione na widok publiczny! Opadła na poduszkę i przykryła się kocem. Ból głowy sprawił, że się rozplakała.

- Gdzie są, u diabła, moje ubrania? - mruknęła przez łzy.

Ryan podszedł do łóżka i przytulił ją do siebie.

- Wypłacz się, kochanie. Wiem, że nie powinienem tak ci dogryzać. Złóż to na karb niedoświadczenia.

- Gdybym miała siłę - jęczała ze złością - to bym ci przyłożyła. Kto mnie rozebrał?

- Uwierzyłybyś, że Meriam? - zapytał z niepokojem.

- Nie, nie uwierzyłabym.

- W takim razie nie będę musiał kłamać. Ja to zrobiłem. Ściąłem tę wiśnię moim małym toporkiem.

- Ach, ty podły...

- Przestań, Mattie - ostrzegł. - Nie mów tak. Moja matka i ojciec byli małżeństwem, kiedy się urodziłem.

- Przepraszam - mruknęła i przytuliła się do niego. Była szczęśliwa, że może się na nim oprzeć. Aspiryna przyniosła zbawienny skutek. Prawie że mogła logicznie myśleć. Prawie...

Dlaczego odczuwa takie zadowolenie, że tu jest? Dlaczego sprawia jej to ból, a jednocześnie przyjemność? Dlaczego nie przejmuje się tym, że rozebrał ją bez jej wiedzy? Bo go kocha - podpowiadało sumienie. Ale nie chce go kochać. Tak naprawdę nie zna go. Łączą go jakieś diabelskie więzy z Virginią. A co właściwie ich łączy? Parę pocałunków, zwariowana noc z pływaniem, osiem spokojnych dni na wozie zaprzężonym w woły. Czy to wystarcza, by mówić o romansie? Nawet ta prymitywna matka Meriam wie, do czego on zmierza. Chce zdobyć udział w imperium Latimore'ów,

czyż nie?

- Wiesz - powiedziała z wahaniem. - Nie mam żadnych własnych pieniędzy z wyjątkiem pensji.

- Można byłoby przypuszczać, że jesteś warta kupę dolców. Nie masz żadnych udziałów w firmie?

- Oczywiście, że tak. Wszyscy jesteśmy udziałowcami, ale pod koniec roku moje zyski idą na cele dobroczynne. Nie mam wpływu na wybór instytucji!

- Ach tak? - odrzekł. Wcale nie wydawał się tym zainteresowany. Czy to dobry znak, czy może po prostu on znakomicie gra rolę? - zastanowiła się.

- A kiedy mój brat Michael skończy dwadzieścia jeden lat, przestanę pełnić funkcję wiceprezesa.

- Michael na tym skorzysta - odparł ze znużeniem w głosie. - Chciałbym wiedzieć, o czym będzie mówić rada. Muszę przecież poruszyć temat kolei.

- Niespecjalnie się mną interesujesz - stwierdziła. - Za kilka lat nie będę miała co włożyć na grzbiet.

- Już teraz nie masz - odrzekł ze śmiechem. Zgiął koc i spojrzał na nią. - A jestem zainteresowany.

- Ach, ty! - Mattie uderzyła go po rękę. - Mężczyźni! Wszyscy jesteście tacy sami!

- Chyba tak - powiedział powoli. - Dlaczego próbujesz sprowokować mnie do walki?

- Wcale nie - wyjąkała. - Znam zamiary rady. Uśmiechnął się szyderczo i odgarnął włosy z jej twarzy.

- Jasne. Powiedziały ci o wszystkim na zebraniu kobiet ostatniej nocy.

- Nie mylisz się. Rozglądasz się po obozie, a nie masz najmniejszego pojęcia o tym, co się dzieje! Typowo męska postawa!

- Ale ty mnie poprawisz, tak?

- Naprawdę powinnam uderzyć cię po tej głupiej gębie - warknęła i spróbowała usiąść. Przytrzymał ją na chwilę i obróciła się

ku niemu.

- Teraz słuchaj! - powiedziała z wściekłością.

- Rada ma przed sobą jeden zasadniczy problem. Słuchasz mnie? Spójrz na mnie, kiedy mówię!

- Patrzę - westchnął. - Zaraz oczy mi wypadną. Mattie poczerwieniała. Przy łóżku leżała jedna z jej gallabij. Uklękła plecami do Ryana i chwyciła długą, białą szatę.

- Potrzebujesz pomocy?

- Na pewno nie twojej! Podglądacz!

Wsunęła suknię przez głowę i zaczęła ją przeciągać przez ramiona, ale jego ręce powstrzymały ten manewr.

- Spójrz tutaj! - wykrzyknął. - Co, ci w ramię? Jego zupełna głupota dobiła Mattie. Opadła na pośladki, obciągnęła gallabiję na biodrach i z trudem powstrzymała się od śmiechu.

- Żona wodza była tak przerażona moją brzydotą, że kazała mnie upiększyć. Potrzebowałam tego znamienia!

Ryan obnażył jej ramię i oglądał rysunek.

- Wygląda prawie jak hieroglify. Nie wiem, co w tym pięknego - i przedtem byłaś piękna.

- To znaki plemienne - wyjaśniła. - Przyjęli mnie do szczepu Masakin. Wielu rzeczy nie wiesz. Nie jest tak, jak myślisz. Wódz nie ma nic do powiedzenia. Członkowie rady pochodzą z wyboru i wódz może robić tylko to, na co pozwoli mu rada. Czeka ich podjęcie poważnej decyzji.

- Powiedz, jakiej, o fontanno wiedzy - powiedział uroczą arabszczyzną. Mattie pokazała mu język.

- Jeśli chcesz wiedzieć, Masakinowie zadecydują na tej radzie, czy będą się trzymać starych zwyczajów, czy też wybiorą nowoczesne życie i maszyny, tak jak to uczyniły szczepy Nuerów.

- O kurcze! - wykrzyknął. Bezskutecznie go uciszała. Przez drzwi zajrzało kilka kolejnych gości.

- To zebranie jest o czwartej godzinie - powiedział Ryan i zerknął na zegarek. - Dziesiąta. Czyli za pół godziny. Nie sądzę, żeby

dali mi dojsć do słowa. Co proponujesz?

- Czyż to nie zdumiewające - stwierdziła z satysfakcją. - Wielki Ryan Quinn zadaje pytanie!

- Cóż, zgodziliśmy się na partnerski układ.

- Masz dobre mniemanie o sobie - warknęła.

- Tak jak ty - odciął się ze śmiechem. - Nic dziwnego, że tworzymy taką dobraną ekipę!

Rzeczywiście, pomyślała, nie zauważając jego promiennego uśmiechu.

- Mam propozycję, ale nie pytaj - powiedziała.

- Kiedy pójdziesz na to zebranie, zaczekaj na właściwy moment i złóż propozycję. Po prostu powiedz: „Czy chcielibyście zarządzać koleją?” Niczego więcej nie dodawaj. Powiedz tylko tyle.

- Widzę w twoim oku jakiś szelmowski błysk. W porządku. Zrobię to. Muszę już iść. Może pocałujesz mnie na szczęście?

- Ze względu na korporację - powiedziała, choć było to kłamstwo.

Rzucił się na nią jak lampart na swoją ofiarę. Nim zdążyła przymknąć usta, wpił się w nie z łagodną namiętnością. Tego mi brakowało przez wszystkie te lata, pomyślała i poddała się szaleństwu z radością.

W kraju, gdzie zegary chodzą tak, jak sobie tego życzą ludzie, a nie na odwrót, trudno było zmierzyć czas trwania tego pocałunku. Skończył się, gdy nie mogli już złapać tchu. Mattie leżała w ramionach Ryana, nie przejmując się tym, że pieścił jej pierś przez cienką bawełnianą gallabiję. A raczej przejmowała się, ale nie miała nic przeciwko temu. Mattie Latimore związała swój los z Ryanem Quinnem. Zdecydowała, że o konsekwencjach pomyśli potem.

- Całkiem interesująco, jak na nowicjuszkę - powiedział powoli. Jemu również brakowało tchu. W ciemnych oczach płonął ogień pożądania i Mattie doskonale wiedziała, kto padnie jego ofiarą.

- Lubisz dzieci? - zapytał nagle. I, nie czekając na odpowiedź, dodał: - Musisz iść. Może pocałujesz mnie na szczęście?

- Uwielbiam dzieci - odparła zadyszana. - I w tym pokoju jest chyba echo. Przecież ty to zrobiłeś!

- Co?

- Pocałowałeś mnie na szczęście!

- Naprawdę jestem roztargniony - westchnął. - Potrzebuję kogoś, kto by się mną zaopiekował. Co masz zamiar robić, kiedy mnie nie będzie?

- Mam kolejne spotkanie z żoną wodza - odparła Mattie.

Mówienie przychodziło jej z trudem. Musiała skupić całą uwagę, żeby patrzeć mu w oczy. Nie mrugnął, a według starego przesądu z Nowej Anglii pokonanie wzrokiem przeciwnika gwarantowało szczęście. A ja tak bardzo pragnę mieć szczęście, pomyślała.

Może i wygrałaby ten pojedynek, gdyby Ryan był uczciwy. Ale on nie miał ochoty być uczciwym. Przysuwał głowę coraz bliżej, aż w końcu jej wola osłabła i Mattie zamknęła oczy. Raz jeszcze przystąpił do szturmu. Całował ją ciepłymi wargami, delikatnie dotykając jej miękkiej piersi. Trudno było mówić o podboju, skoro Mattie miała w nim swój udział. Odwzajemniała pocałunki, obejmowała ramionami jego kark i napierała na niego coraz mocniej. Cały czas próbowała osiągnąć jeszcze większą bliskość, dać mu odczuć przez skórę to, czego nie miała odwagi wyrazić słowami.

Przy drzwiach rozległ się hałas.

- Zaczyna się rada - oznajmiła u wejścia Meriam. - Wielka Władczyni czeka na ciebie, kobieto Latimore'a. O, przepraszam! Znowu zrobiłam to samo?

Kobieta Latimore'a wysunęła się z objęć Ryana i wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Nie, wcale nie, Meriam - zawołała radośnie. - Właśnie wychodziłam.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Mattie przez cały dzień wyczekiwała powrotu Ryana. Nad wioską pojawiła się niegroźna chmura. Ludzie rozsiedli się w małych grupach i obserwowali chatę, gdzie odbywała się rada. Co pewien czas padał deszcz, ale nikt nie zwracał na to uwagi. Jeśli chodziło o udział Mattie w małej intrydze, był on dziecinnie prosty. Meriam zaprowadziła ją do chaty swojej matki na wzgórzu w pobliżu domu doktora. Nie było żadnych formalności: wszystko sprowadzało się do interesów.

- Każdy może się nauczyć obsługiwania kolei - zapewniała żonę wodza w odpowiedzi na potok pytań z jej strony. - Popatrz na szczerp Nuerów. Dziesięć lat temu znali się tylko na bydle. Teraz kopią w poszukiwaniu nafty, jeżdżą ciężarówkami, robią wszystko. Plemię Masakinów również na to stać.

Latimore założy szkołę i zapewni przeszkolenie w naszej bazie w Kosti. Podczas szkolenia mężczyzn będziemy potrzebowali strażników na kolei. Powiedzmy, że stu mężczyzn będzie obsługiwało pociągi, a dwustu zostanie strażnikami na torach. Możemy wybudować specjalne skrzyżowania, żeby wasze stada mogły przechodzić przez tory. Czy to jest możliwe?

- Wszystko jest możliwe - odpowiedziała kobieta. - Masakinów jest pięć setek setek.

- I możecie zmusić mężczyzn, żeby to zrobili? Matka Meriam wybuchnęła śmiechem.

- Musisz jeszcze wiele się nauczyć, kobieto Latimore'a.

Mężczyznami nie daje się komenderować.

Ale można ich przekonać. Na tym polega zadanie kobiety. Dziś wieczorem rada wypali fajkę i zaśnie z tymi słowami. Będą mieli sny. Jutro dadzą się przekonać.

- No, no - zaśmiała się Mattie. - Muszę zdobyć trochę waszego tytoniu.

- To nie tytoń. Popatrz tutaj. Poznajesz?

- O Boże! - zawołała Mattie. - Haszysz!

- Tak - powiedziała starsza kobieta. - Czasami robimy użytek z arabskich podarunków. Wódz wypala fajkę i kładzie się.

Towarzyszyć może mu tylko jego żona. Podobnie jest z innymi mężczyznami. Będzie się im szeptać słowa do uszu - tak przecież powstają sny, prawda? Takie postępowanie jest przykre. Kobiety Masakin mieszają się do spraw publicznych tylko w ciężkich czasach. Teraz przyszła właśnie taka pora. Nasz lud musi się zmienić albo zginie. Idź już. Jutro załatwię tę kwestię z tobą i twoim mężczyzną. Nie rozumiem, jak twoja matka pozwala ci z nim żyć, skoro nie zapłacił ceny za narzeczoną! Wy, Latimore'owie, macie dziwne zwyczaje!

Ryan wrócił o zachodzie słońca. Był wyczerpany.

- To była moja najcięższa robota - siedzenie i słuchanie.

- Ale zdołałeś wtrącić swoje trzy grosze? - zapytała z niepokojem Mattie.

- Rzeczywiście udało mi się - odparł ze śmiechem. - Nigdy nie myślałem, że jestem takim dobrym aktorem. Twój ojciec powinien podwoić mi pensję.

- Przynajmniej podwoić - mruknęła przygotowując posiłek.

Stanął za nią i objął ją ramionami.

- Nie mówię poważnie - powiedział cicho. - Mój kontrakt wygasa za dziesięć dni i nie zamierzam go odnowić.

- Ale... ale w takim razie my... - zaczęła mówić ze wzburzeniem.

- Właśnie - przerwał. - Najpierw załatwimy tę umowę, a potem skoncentrujemy się wyłącznie na nas. Wiesz, dzisiaj wciąż mówiono

mi to samo. Oni myślą, że mam tysiąc sztuk bydła i wszyscy potrząsali głowami, twierdząc, że nie powinienem być ujawnić tej informacji, bo przez to wzrośnie cena! Niestety nie wiem, o co im chodziło.

Mattie postawiła ich wspólny talerz z ryżem, warzywami i kawałkami pachnącej wołowiny.

- Musimy poważnie pogadać - powiedziała. - Spróbuj tego.

- Hm, niezłe - powiedział, gdy przełknął kilka kęsów. -

Prawdziwe mięso. Miałem już dosyć tej wegetariańskiej diety! O czym chciałaś ze mną mówić?

- Żona wodza uważa, że stanowimy ładną parę - zaczęła ostrożnie Mattie.

- Aha. No i co z tego?

- A potem zapytała, ile za mnie zapłaciłaś, a ja nie umiałam jej odpowiedzieć. Sądzę, że dziewczyna powinna znać swoją wartość - dodała ze sztuczną potulnością.

- Więc?

- Potem stwierdziła, że moja matka nie powinna była pozwolić mi na życie z tobą bez... wiesz, czego.

- Zdaje się, że powiesz mi coś, czego nie chcę usłyszeć - odparł Ryan i napił się herbaty.

O Boże, pomyślała Mattie. Wszystko zepsułam!

- Nie chcesz wydusić z siebie słowa „małżeństwo”, tak?

- Tak - odrzekła zająkując się. To słowo pojawiło się parę razy w rozmowie.

- I co o tym myślisz?

- O słowie? - wymamrotała.

- O akcie małżeńskim - odparł ze śmiechem.

- Ja... a co ty o tym sądzisz?

- Hm. Mam rozważyć wszystko? Powiedziałaś, że nie masz żadnych pieniędzy i stracisz pracę, kiedy dorośnie twój brat Michael. Z drugiej strony, jesteś całkiem niezłym inżynierem, porządnym szefem, a może byłabyś nawet dobrym architektem, gdybyś ciężko

popracowała. Ale ja z kolei chciałbym osiąść gdzieś na stałe. Mam na ranczo o wiele więcej niż tysiąc sztuk bydła. Ty jesteś ładnym maleństwem, a kiedy idziesz i kręcisz tym fajnym tyłeczkiem, zawsze odczuwam obłądną ochotę skoczenia na ciebie...

- Hm! - warknęła z oburzeniem.

- Nie przerywaj. To jeden z tych złych nawyków, których będziesz musiała się wyzbyć. O czym to ja mówiłem? A, tak, przezabawnie jedzie się z tobą na wozie zaprzężonym w woły. Po tych ośmiu dniach zupełnie inaczej myślę. Jest jeszcze jeden drobiazg. Jestem w tobie zakochany po uszy. Teraz możesz mówić.

Mattie przestała groźnie na niego spoglądać, poczerwieniała i uśmiechnęła się szeroko.

- Chyba nie zostawiłeś mi niczego do powiedzenia - wyjąkała.

- Tak właśnie miało być - drażnił ją. - Musisz powiedzieć tak.

T-a-k. Kapujesz?

- Tak - westchnęła. - Kapuję. Mam się uklonić i trzasnąć obcasami?

- Połóż ten talerz, Mattie! To nasz jedyny talerz. Jeśli rzucisz nim we mnie, nie będziemy mogli jeść! To był żart!

- Tak, żart - warknęła. - Strasznie śmieszne! Przez takie żarty spędzisz na tej sofie wiele nocy. Oni wezmą się jutro za ciebie!

- Jacy oni? - zagadnął.

- Moi współplemieńcy. Jak myślisz - po co mnie wciągnęli do szczepu Masakinów? Żebym miała jakąś rodzinę, z którą mógłbyś się targować, bałwanie!

- Kierownik ma zawsze dużo pracy - odparł z westchnieniem. - Chodź no tutaj, kobieto.

Podeszła, aczkolwiek z ociąganiem. Ryan objął ją niedbale ramieniem. Przed wejściem przemknęła zgraja dzieciaków, które się z nich śmiały. Zapadała ciemność i w wiosce rozpalano coraz więcej ognisk. Dwa odrębne ciała śniły ten sam sen i spłynęła na nie błoga cisza.

O czwartej godzinie w nocy trwało jeszcze zebranie rady.

- Pora iść do łóżka - oznajmił Ryan. Oboje powstali i udali się do chaty.

- Czy teraz jesteśmy zaręczeni? - zapytał.

- Nie widzę żadnej oznaki zaręczyn - odparła Mattie.

Zdjął z małego palca sygnet i wcisnął dziewczynie w dłoń. Był zbyt duży na jej długie, szczupłe palce.

- Teraz jesteśmy zaręczeni - powiedział.

- Okay.

- Tylko tyle? Okay?

- Chyba tak - odrzekła. - Ilekroć wypowiadasz tego rodzaju zdania, staję się... podejrzliwa. Co będzie po tych naszych zaręczynach?

- Sądziłem, że to oczywiste - odparł z chichotem. - Skoro dzielimy śpiwór, można pomyśleć o czymś innym poza spaniem.

- Och nie, nie możemy! - Mattie odsunęła się od niego.

- Co ja złego zrobiłem?

- Jeszcze nic - odparła. - Posłuchaj, Ryan. Dawno nie byłeś w Ameryce, więc muszę ci powiedzieć, że tam rewolucja seksualna już się skończyła.

Spodziewała się, że Ryan wybuchnie niczym wulkan. Ale on patrzył przez chwilę na jej skupioną twarz i uśmiechnął się.

- W porządku.

- Wiedziałaś, że to zrozumiesz.

- Może chociaż trochę pocałunków?

- Trochę to właściwe słowo - powiedziała.

Dzień rozpoczął się w pełnym blasku słońca. Z budynku rady ulatniał się dym. O pierwszej godzinie weszła do pokoju Meriam.

- Rada podjęła decyzję - oznajmiła radośnie.

- Obwieszczą ją o szóstej godzinie. Mężczyźno Latimore, swatki już czekają na ciebie!

- Czekają na mnie?

Ryan dobrze udawał człowieka, który nie ma pojęcia, o czym mowa. Mattie przeciągnęła się i wylazła ze śpiwora. Ryan usiadł w

przeciwległym kącie, na dwóch kocach, co posłużyło mu za łożko.

- Pora pokazać pieniądze, o których się rozpowiadało - drażniła go Mattie. - Idę z wami, żeby mieć pewność, że gra jest uczciwa.

- O, nie - odparła poważnym głosem Meriam.

- Nie wolno ci słuchać... dyskusji.

Odeszli pochłonięci beztroską rozmową i Mattie została zupełnie sama.

- Właśnie mnie licytują - mruzczała zbierając rzeczy wokół chaty.

- I nawet nie mogę posłuchać? Też mi system. Ale nie będę się tym przejmowała!

I nie przejmowała się. Dlaczego nowoczesna kobieta miałaby zamartwiać się czymś takim? Oczywiście chodziła po klepisku i wbiegała na wzgórze z zupełnie innego powodu. Żeby zaczerpnąć trochę świeżego powietrza, tłumaczyła się przed sobą. Na dole w wiosce przechadzali się przed budynkiem członkowie rady. Ziewali, drapali się i składali sobie gratulacje. Pod drzewem zebrała się „ekipa negocjatorów”. Wszyscy zaśmiewali się, gadali i ogólnie nieźle się bawili.

- Głupie zwyczaje - powiedziała Mattie do egipskiego sępa nad głową. Ale nie mogła się powstrzymać od krążenia wokół tego drzewa.

Kiedy podeszła jeszcze bliżej, usłyszała radosny okrzyk zarówno tych, co się targowali, jak i członków rady zgromadzonych po drugiej stronie placu. Ale nikt nie chciał rozmawiać z Mattie. Powlokła się z powrotem do chaty. Na zewnątrz temperatura wynosiła jakieś czterdzieści stopni Celsjusza. Mattie czuła, że jej ciepłota jest o trzydzieści stopni wyższa. Podskoczyła na widok Ryna.

- No i co? - zagadnęła.

- Ho, ho, aleśmy napastliwi!

- Uważaj, żebym cię nie napadła! - groziła. - Co się wydarzyło?

- Na radzie? - zapytał, żeby ją podrażnić. - Głosowali za zmianą.

I wyobraź sobie, że wódz miał już imiona trzech setek mężczyzn: stu

na przeszkolenie i dwustu do służby strażniczej. Właśnie o takiej liczbie myślałem. Jutro wyruszają do El Obeid. Uruchomimy specjalny pociąg z Kosti, który ich podwiezie. I muszę dać znać Harry'emu, żeby zajął się programem szkolenia, urządzeniami, pomieszczeniami. Mam milion rzeczy do zrobienia; gdybym tylko mógł skontaktować się z bazą.

- Dlaczego nie pogadasz ze znachorem? On wie, gdzie jest koniec „telegrafu w dżungli”.

- Naprawdę? Ciekawe, że ty o tym wiesz!

- Kiedyś coś wpadło mi do ucha - mruknęła.

- Wiesz, nawet odczuwam trochę samozadowolenia - myślał na głos. - Przyjazd tutaj, te nieformalne układy, ruszenie sprawy z martwego punktu. Wiesz, co powiedział wódz? Przyśniła mu się odpowiedź! Uwierzyłabyś w coś podobnego?

Mattie miała na końcu języka słowa pogardy, zaprzeczenia i ironii. Przecież ten układ został w całości wymyślony w kwaterze kobiet. Mattie Latimore, która kiedyś opuściła Boston, zaatakowałaby go, zniszczyła jego reputację i poddała jego osobowość chłodnej analizie. Ale dziewczyna, która stała teraz w ogrzanej słońcem chacie, była już zupełnie inna.

- Tak - powiedziała łagodnie. - Masz powód, żeby być z siebie dumny.

- Nie zrobiłbym tego bez twojego wsparcia - ciągnął. - Któregoś dnia będziesz musiała mi opowiedzieć, co naprawdę stało się w budynku dla kobiet.

- Któregoś dnia - obiecała bez przekonania. - Albo może zachowam tę opowieść dla moich wnuczek.

- Zaczynij się pakować - Ryan uśmiechnął się.

- Jeżeli uda mi się uzyskać połączenie, każę im przysłać helikopter. Możemy wyjechać z miasta wozem a potem przierzucimy się na coś nowocześniejszego.

Mattie skinęła potakująco głową. Przed odejściem pocałował ją w czubek nosa.

Patrzyła za nim jak czuła matka odprowadzająca ukochanego syna w pierwszym dniu szkoły.

- Boże - westchnęła. - Nie wiedziałam, że ta gra w małżeństwo jest taka ciężka!

Następnego dnia przedarli się przez tłum na wozie zaprzężonym w woły.

- Ten szary gdzieś przepadł. Założę się, że go zjedli w trakcie uroczystości. Ale wódz dał nam dodatkowego woła.

- Nie wygląda na to, że dojdzie do El Obeid. - Mamy chyba dużą odległość do pokonania?

- Z pewnością - zgodził się Ryan. - Ale nie ma się czym przejmować. Miałaś rację - ten znachor przechowywał w apteczce nadajnik radiowy i natychmiast skontaktowałem się z Harrym. Helikopter powinien nas zabrać około piątej w południe. I tak skończy się twoja wielka przygoda, Mattie. Oboje wrócimy do cywilizacji jutro przed zapadnięciem zmroku. Co przychodzi ci do głowy?

- Rozkoszny gorący prysznic - powiedziała schylając głowę, żeby ukryć uśmiech.

- Ty wiesz, jak urazić męską dumę - żalił się Ryan. - No, wstawać, woły!

Tuż za wozem kroczyła gwardia honorowa - sześćdziesięciu wojowników masakińskich o naoliwionych ciałach. Ich długie włócznie lśniły w słońcu, a z przepasek ze skóry zebrały sterczały strusie pióra. Wybijali stopami taneczny rytm i śpiewali.

- Czuję się jak Alicja w Krainie Czarów - szepnęła Mattie. - Królowa i jej orszak. Już nigdy nie będę go miała.

- Będiesz - zapewnił ją. - W dniu naszego ślubu.

- Mówisz poważnie? - zapytała przytulając się do niego.

- Oczywiście. Nie ufasz mi, prawda?

- Nie chodzi o ciebie - westchnęła. - Po prostu nie mam zbyt wiele doświadczenia w sprawach damsko-męskich. Chyba nie zaufałam nikomu. Nie złość się. Nie uwierzę, dopóki nie

wyjdziemy z kościoła po uroczystości!

- Nie jestem zły, kochanie. Przebyłaś daleką drogę żeby odnaleźć miłość. Wszystko będzie lepiej, kiedy wrócimy do Stanów Zjednoczonych.

- Ile za mnie zapłaciłeś?

- Ustaliliśmy cenę, ale nie zapłatę - odparł. - W ostatniej chwili dobili mnie nowym punktem. To nie ja mam uiścić zapłatę, ale moi krewni. Taki jest zwyczaj.

- Jak się z tego wypłatałeś?

- Złożyłem uroczystą przysięgę, że wrócę do mojego bydłeczego imperium w Teksasie i nakażę wujowi, żeby zapłacił.

- Ale ile? - nalegała.

- Nigdy ci tego nie wyjawię. Ale powiem ci jedną rzecz: to była najwyższa cena zapłacona w tym roku w szczepie Masakinów!

- No i co z tego? - drażniła go. - Jestem warta każdego dolara!

- Każdej krowy - poprawił. - Zapłata musi być w krowach.

- W takim razie wrócisz do domu akurat po wypłatę.

Przypuszczam, że dobrze się znasz na krowach?

- Nie rób mi tego - jęknął. - Wiesz, dlaczego wyjechałem z Teksasu?

- Nie. Dlaczego?

- Bo nienawidzę krów - huknął. - Jedyne, co w nich lubię, to mleko i steki. Reszta mnie nie interesuje. Zbyt wiele lat młodości spędziłem na uganianiu się za krowami.

Mattie chciała zadać mu jeszcze pytanie, ale nie było to możliwe. W godzinę po opuszczeniu Topari orszak zatrzymał się i wykrzyknął gromkie pozdrowienie, a do wozu podeszła Meriam i jej matka.

- Przynosimy wam myśli wodza Artafi - powiedziała jego żona. - Życzy wam wielu synów i mnóstwo bydła. Nie zapomnisz o tym, kobieto Latimore'a, kiedy wrócisz do domu, do swojej maiki?

- Nie zapomnę - powiedziała przez łyzy Mattie. - A ty, Meriam? Przyjedziesz do Kosti?

- Nie - odparła dziewczyna. - To już moje piętnaste lato.

Zaczynam poszukiwanie męża - nowego wodza.

- Uczyń mądry wybór - powiedział z niespotykanym u niego wdziękiem Ryan. Dwie Masakinki odstąpiły od wozu, mężczyźni raz jeszcze krzyknęli i nastąpiło rozstanie.

- Naprawdę żałuję, że odjeżdżam - powiedziała Mattie, patrząc na znikające kobiety. - Nauczyła mnie w krótkim czasie bardzo wielu rzeczy.

- Pewno jeszcze zobaczysz Meriam - pocieszył ją.

- Nie Meriam - odrzekła. - Jej matka. Podróżowali w milczeniu. Droga przed nimi tworzyła liczne zakręty między *wadi*, które teraz wypełniała świeża deszczówka. Dalej okrążała podnóże wzgórze i ciągnęła się przez trawiaste sawanny. W gorące popołudnie nic nie przelatywało na niebie. W oddali można było ujrzeć pojedyncze drzewa. Tylko kolczaste akacjowce rosły w grupach. Woły stąpały z trudem i próbowały coś skubać. Kiedy droga skręcała w lewo, one wędrowały na prawo. Mattie pomyślała, że taką nie kończącą się równinę musieli widzieć jej amerykańscy przodkowie, gdy jechali pociągami na zachód.

Wkrótce Topari przestało być widoczne. Stopniowo powieki Mattie stawały się coraz bardziej ociężałe. Pochylała się łagodnie, niczym upadająca wieża, aż oparła się o ramię Ryana. Podniósł rękę, żeby ułożyć ją w wygodniejszej pozycji, ale nie miało to znaczenia. Szybko zasnęła jak kamień.

Obudził ją nagły postój. Kiedy zrozumiała, co się dzieje, wyprostowała się, mobilizując wszystkie siły.

- Spokojnie - ostrzegł Ryan i położył rękę na jej ramieniu.

- Tak, oczywiście - mruknęła. Zadrżała. Ich wóz wjechał na krawędź wzgórze i zatrzymał się. Zobaczyli przed sobą wyeksploatowany samochód opancerzony marki Saracen, którego armatka była wycelowana prosto w ich twarze. W pojeździe znajdował się Ahmed, a po obu jego stronach tłoczyło się kilkunastu żołnierzy z wymierzonymi strzelbami starego typu.

Mattie patrzyła w osłupieniu na dumnego, szczupłego Araba,

który szedł w ich kierunku. Zbliżali się do nich również żołnierze. Dostrzegając kropelki potu na ich czarnych czołach i ze zdumieniem stwierdziła, że różnią się między sobą, pomimo jednakowych maskujących uniformów. Szli ostrożnie, jakby się obawiali dwójki ludzi na wozie.

- Panna Latimore - powiedział ironicznie Ahmed. W jego oczach widać było wyłącznie nienawiść. Za pasem miał potężny pistolet.

- Pamiętaj, że działamy na mocy umowy z Chartumu - odrzekł przez zaciśnięte zęby Ryan.

- Skoro tak, panna Latimore musi mi pokazać zezwolenie na podróżowanie po tej okolicy.

- Chodzi tylko o to? - zawołał rozwścieczony Ryan. - O jakieś zezwolenie na podróżowanie!

Ahmed zrobił ruch ręką i dwóch żołnierzy weszło na wóz, chwyciło Ryana za ramiona i ściągnęło na ziemię.

- Prawo jest prawem - powiedział mu Ahmed.

- Muszę zatrzymać pannę Latimore, żeby ją przesłuchać. Pan, panie Quinn, może kontynuować zgodną z prawem podróż.

- Niedoczekanie! - krzyknął Ryan usiłując się wyrwać z rąk żołnierzy.

- W takim razie jestem zmuszony aresztować i pana - odparł ze śmiechem przywódca Arabów.

- Widzę, że strasznie cię to martwi - warknął Ryan. - Pamiętaj, Raszyd: jeżeli rząd się o tym dowie, będziesz miał poważne kłopoty!

- Wobec tego postaram się, żeby się nie dowiedział. Szkoda, prawda? W tej okolicy jest tylu... przestępców. Niebezpieczni ludzie. Zabijają bez powodu. Ale jestem pewien, że taką piękność, jak panna Latimore, oszczędzę na pewien czas. Powiedzmy, że dla zabawy.

- O mój Boże - powiedziała półgłosem Mattie. - To nie może być prawdą. Ahmed obejrzał się na nią.

- Nie wolno tak zostawić tych zwierząt - protestowała. - Dajcie im szansę. Weźcie je albo zdejmijcie im uprząż!

- Ach, czułe serce - zaśmiał się Ahmed. - Dobroć dla zwierząt. Oczywiście.

Saracen znowu zaczął jechać do przodu. Żołnierze popchnęli Ryana, obok którego wlokła się Mattie. Gotowało się w niej ze złości.

- Nie martw się tym - poprosił Ryan.

- Nie, oczywiście, że nie - odparła cierpko. - W końcu to tylko porwanie, szkody cielesne, gwałt, morderstwo. Któraż kobieta nie byłaby zachwycona?

- Nareszcie mówisz jak trzeba - zachichotał Ryan. - A teraz wstrzymaj oddech. Do zmroku niewiele da się zrobić.

- Czyli mamy jakąś nadzieję? - zapytała ze zdumieniem.

- Nadzieja jest zawsze, kochanie. Znajdujemy się zaledwie dwadzieścia kilometrów od Topari. Musimy tylko uporać się z tym opancerzonym samochodem. Potem będzie już łatwo!

Mattie spuściła głowę i szła przez równinę obmyślając plan ucieczki. Żaden nie wydawał się dobry. Chyba powinna czuć się usatysfakcjonowana, jak bohaterki w książkach. Umrze przy boku ukochanego. Boże, co za głupi pomysł!

Po dwóch godzinach marszu w gorącym słońcu przybyli na małe wzgórze pośrodku płaskowyżu. Dwa stare, pnące się ku niebu baobaby stanowiły schronienie. W cieniu stała stara ciężarówka. Podobnie jak opancerzony wóz, była poobijana. Żołnierze wprowadzili ich bezceremonialnie do brudnego namiotu z płótna i popchnęli na poplamioną podłogę. Przywiązano ich sznurem do jednej z tyczek w namiocie. U wejścia stanęło dwóch strażników.

W godzinę później, po zapadnięciu mroku, do tego więzienia wszedł Ahmed.

- Doskonałe jedzenie - powiedział dłubiąc złotą wykałaczką w swym idealnym uzębieniu.

- Nie puszczę ci tego płazem - stwierdził oschle Ryan.

- Niby dlaczego? - odparł pogodnie Arab. - Mamy trochę kłopotów z uruchomieniem radia. Jak już to zrobimy, dam pannie Latimore szansę kupienia ci kolacji, a może nawet przedłużenia

waszego życia. Pochylił się i zmierzwił jasne włosy Mattie.

- Dziwne. Moja rasa tak uwielbia blondynki - zastanawiał się na głos. - Muszę być cierpliwy. Z pewnością odczuję większą rozkosz kosztując innych walorów tej ślicznotki. Chyba trochę mnie lubisz, prawda, moja droga?

Odpowiedziała po arabsku, gdyż język ten oferował lepszy wybór dosadnych słów.

- Tak jak lubię świnie - odrzekła mu płynną, pełną wdzięku arabszczyzną. - Świnie wysmarowaną szlamem. Twoja matka na pewno ujeżdżała wielbłąda, twój ojciec był izraelskim dziwkarczem, a wszystkie twoje siostry mają gnój między palcami u nóg!

- *Ja blint* - mruknął z gniewem. - Ja cię nauczę! Wymierzył jej siarczysty policzek, aż upadła na Ryana.

- Spokojnie - szepnął Ryan, kiedy Ahmed wyszedł dumnie z namiotu. - Opanuj się. Spójrz na strażnika.

W ciemności Mattie nie była w stanie dostrzec żadnych szczegółów, dopóki do namiotu nie zajrzał żołnierz z pochodnią. Zobaczyła na jego czole znaki plemienne.

- Wielkie nieba - powiedziała półgłosem. - Masakin!

- To jest armia poliglotów - syknął Ryan. - Siedź spokojnie. Kiedy dam ci znak, pędź do opancerzonego samochodu!

- Ale nie rozumiem, dlaczego - poskarżyła się.

- Jesteśmy pośrodku pustego płaskowyżu - wyjaśnił szeptem. - Jeżeli oni będą mieli samochód, dogonią nas w minutę. Jeżeli to my zdobędziemy wóz, nic nie będą mogli zrobić. Pojmujesz?

Mattie kiwnęła głową udając, że nie tylko rozumie, ale i wierzy w powodzenie planu. Nie było to prawdą, ale z jakiegoś powodu chciała, żeby jej ufał. Ryan patrzył na nią przez chwilę, a potem zaczął mówić w języku Nuba. Strażnik przysunął się, jak gdyby usiłował czytać z jego ust. Ryan powtórzył swoje słowa, a żołnierz otworzył usta ze zdziwienia i przeniósł wzrok na dziewczynę.

- Nie mam zbyt dobrego akcentu - powiedział Ryan. - Teraz nie

bój się i nie krzycz, na miłość boską!

- Nie - wyjąkała, choć już zaczęła się trząść. Żołnierz był młodym, silnym człowiekiem. Kucnął obok Mattie i położył strzelbę na ziemi. Jego ręka powędrowała do guzików jej bluzki. Panie Boże!, pomyślała. Nie krzyczeć? Zamiast Ahmeda przychodzi ten żołnierz? Czyżby Ryan oddał mnie w zamian za możliwość ucieczki?

Wojownik złapał ją muskularną ręką za kołnierzyk i rozdarł go jednym silnym ruchem. Ale nie zamierzał posuwać się do gwałtu. Przesunął się za jej plecy i odkrył lewe ramię dziewczyny. Usłyszała jego wściekły syk. Powiedział coś do Ryana i powtarzał te słowa trzykrotnie. Potem cicho przywołał drugiego strażnika, żeby pokazać mu Mattie. Przystawili pochodnię, aż poczuła ciepło ognia, i przyglądali się tatuażowi na jej skórze.

Bez uprzedzenia zgasili pochodnie i opuścili namiot. Mattie nie potrafiła zrozumieć sensu tych manewrów. Kiedy podszedł do niej Ryan i objął ją ramieniem, załamała się i przywarła do jego piersi, gdyż tylko dotyk mógł przynieść pocieszenie. Przez chwilę szlochała, ale zaraz jej mózg zaczął pracować. Objął ją ramionami? Przecież był związany? Ryan pomógł jej rozwiązać skrupowane ręce.

- Masakin - szepnął. - Rozpoznają twoje znaki plemienne. Widzisz? Dzięki tobie może uda nam się z tego wyplątać.

Rzeczywiście, było to łatwe. Samochód stał o kilka kroków od namiotu, a wszyscy żołnierze zebrali się wokół ognisk, żeby coś zjeść. Ryan i Mattie zaczęli się czołgać. Ryan popchnął dziewczynę do wjazdu opancerzonego samochodu, a sam wszedł tuż za nią. Masakiński strażnik zamknął pokrywę.

- A drugi strażnik? - szepnęła.

- Od Topari dzieli nas tylko dziesięć kilometrów - przypomniał jej. - Poszedł po pomoc. Przez całą drogę będzie biegł. Do jutra do rana coś powinno się stać.

- Do rana? - zapytała. - Ale dlaczego po prostu stąd nie odjedziemy?

- Ponieważ twój przyjaciel Ahmed jest trochę za bardzo

przebiegły. Boi się nie nas, lecz swoich żołnierzy. Każdej nocy każe opróżniać zbiorniki z paliwa!

- A my będziemy tu sobie siedzieć?

Teraz, gdy wyszli z namiotu, zaczęła wpadać w coraz większy gniew.

- Jestem pewna, że w tych zbiornikach zostało przynajmniej trochę paliwa. A tam znajduje się karabin maszynowy!

Niedbale sprawdził go w ciemności.

- Bez amunicji - oznajmił. - Ale rzeczywiście ma trochę paliwa w systemie!

- I co zamierzamy zrobić?

- Siedzieć. Kiedy odkryją naszą nieobecność, skierujemy ten pojazd wprost na łącznicę i rozwalimy mu radio.

- Cóż, z pewnością się zmartwi - stwierdziła ironicznie Mattie.

- Nie ma co do tego wątpliwości. Nie będzie mógł wezwać pomocy. A teraz może wreszcie usiądziesz, na miłość boską!

- Dziękuję, panie Quinn - odparła cichutko.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Eastboro było małą osadą w Nowej Anglii, na południe od Bostonu. Znajdowała się tam jedna ulica ze sklepami i stary drewniany kościół pomalowany na biało i sąsiadujący z cmentarzem. Tylko jeden blok oddzielał kościół od neobarokowego domu Latimore'ów. Mattie siedziała na chwiejącym się tapczanie obok swojej drobnej matki. Jej siedemnastoletnia siostra Faith usiadła na górnym schodku. Czternastoletnia Hope niepewnie balansowała na balustradzie ganku, zaś dwunastoletni Michael stał z powątpiewającą miną, trzymając ręce w kieszeniach. Był mocno zbudowany, podobnie jak jego ojciec, i już przerósł matkę.

- A co stało się potem? - popędzał Mattie. Mattie pragnęła, by cała ta historia brzmiała jak przygoda, choć sama miała złamane serce. Mary-Kate o tym wiedziała - pomimo iż jej włosy były już gdzieś poprzetykane siwizną, a sylwetka nieco się zaokrągliła, dobrze rozumiała młodą naturę.

- A więc zorientowali się, że uciekliśmy, dopiero przed świtem. Narobili mnóstwo hałasu, potykali się o siebie w ciemnościach, i wtedy Ryan...

Przez chwilę mówiła prze łzy.

- Ryan uruchomił silnik opancerzonego wozu i włączył reflektory. Wszyscy żołnierze krzyczeli, a niektórzy nawet strzelali, ale kule odbijały się od samochodu. Jezu, to był śmieszny odgłos! A potem Ryan najechał na nadajnik i rozwalił.

- Zabiliście złoczyńców? - zagadnął Michael.

- Niezupełnie - odparła ze śmiechem Mattie. - Kiedy tylko dojechaliśmy do radia, skończyło nam się paliwo. Więc Ryan nakazał tam siedzieć. Żołnierze oblegali wóz jak mrówki, wspinali

się na niego, ale nie mogli się dostać do środka.

- A wy, oczywiście, nie mogliście się stamtąd wydostać - przerwała Faith. - Para szaleńców! Jesteście siebie warci.

- No, no, panienko - skarciła ją matka. - To jest opowieść Mattie. Mów dalej, kochanie.

- Cóż, nie ma już wiele do opowiadania. My nie mogliśmy wyjść, oni nie mogli wejść, a potem wzeszło słońce. I pojawili się tamci! Ależ byliśmy zdumieni! Zwłaszcza Ahmed bin Raszyd.

- Kto tam był? - zapytała Hope.

- Pięciuset masakińskich wojowników! Podeszli do obozu w nocy i całkowicie otoczyli wzgórze. I stali tam z dwu i pół metrowymi włóczyniami, blokując drogę ze wszystkich stron!

- Powiedz ile mieli wzrostu - nalegał Michael.

- Kolosy - odparła ze śmiechem Mattie. - To byli ludzie z plemienia Masakin Tiwal - wszyscy mieli po dwa metry wzrostu i strusie pióra we włosach. Wyglądali jak pięciuset graczy Boston Celtics, którzy zapomnieli o piłkach do koszykówki!

- Nikt nie dorównuje wzrostem Larry'emu Birdowi - stwierdził sceptyczny Michael.

- Tamci go przewyższali - oświadczyła Mattie. - Byli więksi. Chcesz wysłuchać tej historii, czy nie?

- Mów dalej. Co on tam może wiedzieć? - powiedziała Hope.

- Ahmed kazał żołnierzom strzelać do wojowników, ale oni byli na to zbyt inteligentni. Wiedzieli, że udałoby się im zastrzelić jednego, może dwóch wojowników, a potem mieliby na karku całą resztę. Toteż odłożyli broń i poddali się. Ahmed tak się wściekał, że wyciągnął rewolwer i miał zamiar strzelać, ale wtedy Ryan wydostał się z samochodu i skoczył mu na plecy. I strasznie go sprął. I na tym mniej więcej kończy się opowieść. Masakinowie zabrali ze sobą Ahmeda i znikli. Następnie przyleciał helikopter i przewiózł nas z powrotem do obozu w Kostii. Mary-Kate popatrzyła na zegarek.

- A teraz pora, żebyście zajęli się farmą - zarządziła.

- Obiecaliście wszyscy troje, że pomożecie wujkowi Henry'emu

karmić kurczaki dziś wieczorem.

- Wcale nie chcę pomagać przy kurczakach - warknęła Hope.-
Do diabła z kurczakami!

- Dość tego, moja panienko - powiedziała stanowczym tonem matka. Dziewczynka natychmiast przestała się buntować.

- Zawiozę was - zaofiarowała się Faith i z wdziękiem powstała ze schodów.

- Nie mnie - oświadczył Michael. - Nie chcę ryzykować utraty życia, kiedy będziesz kierowała!

- Może wolałbyś zaryzykować walnięcie w buzię! - zapytała siostra. Droczyli się jeszcze przy schodzeniu, jak przystało na rodzeństwo.

- A teraz opowiedz mi całą resztę - prosiła Mary-Kate.

- Och, mamó! - odrzekła Mattie. - To już wszystko.

- Naturalnie - odparła matka. - Wysyłam do Afryki śliczną, pełną życia dziewczynę. Wraca do domu po sześciu tygodniach - wymizierowana, z dziesięcioma kilogramami niedowagi, przytłoczona ciężarem świata.

Była o wiele niższa od córki, ale Mattie przytuliła się do niej.

- Wszyscy przeżywamy złe okresy, Mattie. Kiedy urodził się mały John i... tak szybko umarł, myślałam, że serce mi pęknie. Ale miałam twojego ojca, was, i mnóstwo obowiązków. Wróciłam do pracy. To pomogło, choć przede wszystkim wypłakiwałam się na ramieniu męża. Powiedz, dziewczyno, co się stało.

- No...

Mattie przerwała, żeby otrzeć łezkę, która pojawiła się w jej oku.

- Powiedział, że mnie kocha. Mieliśmy zawrzeć małżeństwo. Tylko że po powrocie do obozu od razu zniknął w kwaterze swojej żony.

- O mój Boże! Wiedziałaś, że jest żonaty!

- Tak - westchnęła Mattie. - To znaczy nie. Rozwiedli się, ale ona mnie ostrzegła. Powiedziała, że łączą ich piekielne więzy i że on nigdy się od niej nie uwolni. W trakcie podróży zapomniałam o tym,

ale...

- Dalej, dziecino, wyrzuć z siebie wszystko! - zachęcała ją Mary-Kate.

- Przez następne dni byliśmy tak strasznie zajęci planami dotyczącymi szkoły, obozu i wyżywienia, że dopiero w tydzień po powrocie uświadomiłam sobie nagle, że nie widziałam go od trzech dni. W biurze natknęłam się na Harry'ego Cramptona i on myślał, że Ryan o wszystkim mi powiedział. Że on i Virginia polecili trzy dni wcześniej do Teksasu!

- I nie zostawił ci żadnej wiadomości?

- Niczego. Czekałam przez tydzień i płakałam jak ciekący grzejnik, ale nie otrzymałam żadnej wiadomości. Więc w końcu powiedziałam sobie: „do diabła z nim!”. I wróciłam do domu!

Mary-Kate pieściła jej złociste włosy.

- Mamo?

- Tak, kochanie?

- Czy wszyscy mężczyźni są tacy?

- Z wyjątkiem dobrych mężczyzn, kochanie. Zapomnij o tym wszystkim. Wróć do pracy, nie pozwalaj sobie na bezczynność. Czas będzie lekarstwem.

Przez następny tydzień rodzina chodziła na paluszkach, żeby nie przeszkadzać Mattie, jednocześnie zaś pragnęła czegoś się dowiedzieć. Nawet ojciec nie był w stanie pomóc swojej zbolącej córce. Tylko Mary-Katie umiała ją pocieszyć i zwalczyć udrękę dziewczyny.

Michael wiedział jedynie, że Mattie płacze przez jakiegoś mężczyznę, i zaproponował rozwiązanie.

- Powiedz mi tylko, gdzie on mieszka, a rozwalę mu łeb - oświadczył któregoś wieczoru podczas kolacji.

- Amen - podsumował ojciec.

Najgorsze były noce, które przywodziły na pamięć magiczne chwile w Topari. Przypomniała sobie, jak przez dziesiątki kilometrów wlekli się wozem zaprzężonym w woły. Pamiętała każdy gest, każdą

sekundę od pechowego dnia, w którym piorun uderzył w landrovera, aż do ostatniej nocy w drodze, kiedy uświadomiła sobie wreszcie, że kocha Ryana Quinna.

W końcu Mattie Latimore wypłakała swój żal i w tydzień po powrocie do domu z Afryki pojechała autostradą do Bostonu, żeby znowu zająć się pracą.

- Spróbuj rozejrzeć się w Belfair - zaproponował jej ojciec. - Chcą mieć tam nowy ratusz. Chcą mieć coś, co nie wyglądałoby jak Tower w Londynie i nie kosztowało więcej niż sto tysięcy dolarów.

- Zajmę się tą sprawą - obiecała. - Ale któryś z tych parametrów musi ulec rozszerzeniu. Za tę cenę nie możemy przecież wybudować psiej budy!

Wzięła papiery i, gwizdząc, udała się z powrotem do swojego biura. Wszyscy uznali to za oznakę pogodnego nastroju i powrotu do normalności, ale ojciec nie dał się zwieść. „Gwizdanie za cmentarzem” - zwykła mawiać Mary-Kate.

Mattie zastanawiała się, dlaczego ojciec nie zadaje jej żadnych pytań. Nigdy nie zdawała sobie sprawy z tego, że ojciec i tak wie o wszystkim za pośrednictwem Mary-Kate.

Mattie przejrzała szkice z Belfair, wybrała się któregoś pochmurnego dnia na teren budowy i zaczęła obmyślać projekt. Ale Afryka nie dawała jej spokoju, toteż zajechała pod sudańskie biuro projektów.

Naczelnym inżynierem był tam Andy Frame - młody i przebojowy Kalifornijczyk, który realizował swój plan z żelazną konsekwencją. I wpadła mu w oko córka szefa. Nie Mattie - była zbyt niezależną kobietą. Oglądał się za Faith. Za szczupłą, piękną Faith, która chciała zostać prawnikiem.

Mattie uważała, iż ten mężczyzna nie spełnia wysokich wymagań stawianych przez firmę. Poruszyła temat następnego dnia, podczas rozmowy z ojcem w kafejce, gdzie jedli lunch.

- Wiem - odparł. - Ale każdy powinien znaleźć jakieś miejsce, Mattie. Nadal usiłuję wyszukać odpowiednie stanowisko dla

młodego pana Frame. Jeśli chodzi o budowę w Sudanie, rozwiązania Quinna wydają się idealne. Pociągi kursują, rząd jest zadowolony, błyskawicznie rozwijają się kursy szkoleniowe. Ale...

- Ale?

- Dwa razy „ale”! - odparł ze śmiechem sięgając po ciasto.

- A fe! - odrzekła Mattie uderzając go po nadgarstku. - Mama mówiła...

- No, no, nie próbuj mi rozkazywać, młoda damo. Jestem tak stary, że mógłbym być twoim ojcem!

- Tak, proszę pana - odparła ze śmiechem. - Tylko że mama mówiła, że jeśli zobaczę, iż nie przestrzegasz diety, mam ją zaraz o tym powiadomić! Będę musiała wykosztować się na rozmowę międzymiastową.

- No proszę! - narzekał. - Szpiedzy w mojej rodzinie! Jestem chyba największym pantoflarzem w całym stanie!

- Ty i Michael - drażniła go. - Co z tymi „ale”? Potulnie odsunął rękę od tacki z deserem.

- Po pierwsze, za sprawą waszych działań Masakinowie zdecydowali się na wielką zmianę, na nowoczesne życie. Nie jestem pewien, czy to było mądre posunięcie. Są szczęśliwi żyjąc w prymitywny sposób.

- Ja też nie jestem pewna przyznała Mattie. - Ale rozważmy alternatywę. Na ich granice napierali sąsiedzi, a rząd też wywierał presję. Gdyby nic nie zrobili, zginęłaby ich kultura, a wraz z nią i oni sami. Nie było miejsca, na które mogliby się przenieść. A w dzisiejszych czasach niemożliwa jest migracja pół miliona osób. To szalenie inteligentny szczerp. Być może stworzył sobie problemy wyjściem z epoki kamienia łupanego, ale kto wie, czy nie przyczyni się do zjednoczenia narodu sudańskiego. A drugie „ale”?

- Drugie „ale” jest ważniejsze, kochanie - powiedział biorąc ją za rękę. - Ryan Quinn to wybitny pracownik. Przysłał zawiadomienie, że nie odnowi z nami kontraktu. Zatem od zeszłego poniedziałku pozostaje bez pracy.

Mattie zdobyła się z trudem na wzruszenie ramionami i stwierdzenie, że wcale jej nie interesuje los Ryana Quinna.

- Przestań, dziewczyno - przytrzymał się ojciec.
- Wiem, że jest inaczej.
- Nie dbam o to, gdzie on przebywa i co robi - warknęła i spojrzała na ojca ze łzami w oczach.
- Gdzie on jest? - zapytała załamującym się głosem.
- Znowu w USA. Nie w Teksasie. Naprawdę nie wiem dokładnie gdzie.

- Nieważne. Jeśli o mnie chodzi, mógłby być nawet w Timbuktu. Wezmę wolne popołudnie. Muszę trochę...

Muszę trochę popłakać, a potem wybije go sobie z głowy i nigdy więcej nie będzie o nim myśleć!

- Co musisz!
- Muszę... zrobić zakupy - odparła stanowczym tonem. - Wszystkie ciuchy, które mam, wyszły z mody.

- Dobry pomysł - zachichotał ojciec. - Zaczynaj jeść. Przytyj parę kilogramów, żeby zauroczyć jakiegoś mężczyznę.

- Ha! Mężczyźni! - mruknęła i wyszła zostawiając ojcu rachunek do zapłacenia.

Wróciła do domu o szesnastej i zaczęła tłumaczyć swojej siostrze Hope zadania z algebry.

- Nie pojmuję, dlaczego ktoś, kto tak dobrze gra na skrzypcach, może mieć kłopoty z prostą algebrą.

- Skrzypce wymagają praktyki - użalała się siostra. - nie znoszę tych teorii. Interesują mnie rzeczy konkretne, których można dotknąć.

Za oknem dał się słyszeć głośny ryk silników i Hope wyjrzała, żeby zobaczyć, co się dzieje.

- Kilka dużych ciężarówek - poinformowała. - Jeśli zrobię to równanie, to... już zapomniałam.

- Powtórz tę formułę pięćdziesiąt razy.
- Nie mogę - zachichotała Hope. - Mam randkę z

Rimskim-Korsakowem.

Tym razem rozległy się ryki zwierząt i stukanie. Z dołu wołała Faith.

- Mattie!

- O co chodzi, Faith? I nie wydzieraj się na mnie, jakbym była żoną rybaka.

- Mniejsza o ryby. Ktoś tutaj jest. Mama chce, żebyś zaraz zeszła do salonu. Natychmiast!

- W porządku, idę. Czym się tak ekscytujesz?

- Nie wiem - odparła Faith. - Ale to musi być coś ważnego, skoro trzeba zejść do salonu.

Rzeczywiście, pomyślała Mattie odrobinę przyśpieszając kroku. Salon był wyłączony z codziennego życia i zarezerwowany na pogrzeby, śluby i wizyty pastora. Wszystko, co wiązało się z salonem, miało zatem duże znaczenie.

- Mathildo - powiedziała jej matka. Nie był to jej matczyny, przepojony śmiechem głos, lecz ton zawodowego sędziego, który mówi: „Sprawdźcie tu winowajcę, a sprawiedliwie go osądzimy”. I nikt nie nazywał Mattie „Mathildą”, z wyjątkiem babki w Newport, której szczerze nie znosiła.

Matka siedziała z groźną miną na kanapie. Obok niej, na jednym z krzeseł obitych skórą, siedział... Ryan Quinn!

Mattie zamarła. Nie była w stanie się poruszyć.

- Mathildo, ten dżentelmen twierdzi, że złamałaś kontrakt, i żąda jego uregulowania.

- Co? - wyjąkała. - Jaki kontrakt?

- Panie Quinn?

- W czerwcu zgodziła się na małżeństwo ze mną

- recytował, jakby mówił w sądzie. - W ramach kontraktu zawarłem legalną umowę z pewnymi przedstawicielami szczepu Masakinów, gdyż nieobecni byli jej prawowici rodzice. Zgodziłem się na cenę kupna narzeczonej.

- Ale, ale... ja...

- Czy zaprzeczasz, że w tym czasie byłeś członkiem szczepu Masakinów, pod władzą wodza Artafiego?
- Nie... ja...
- Czy odmawiasz wodzowi prawa do wyznaczenia przedstawiciela, który targował się o ciebie?
- Ja...nie...ja...
- Czy zaprzeczasz, że spotkałem się z tym przedstawicielem i ustaliliśmy cenę kupna?
- Ja...ja nie wiem. Nie dopuścili mnie do ciebie. Poza tym nie zapłaciłeś za narzeczoną. Ty zgodziłeś się na cenę.
- Zdaje się, że pan Quinn właśnie po to przyjechał - przerwała matka. W jej głosie znowu było słycać ton szatańskiego śmiechu. - Pan Quinn mówi mi, że przebył tak długą drogę...
- Ponieważ mnie porzuciłaś - przerwał Ryan. - Wróciłem do Kosti, a ty zniknęłaś. Co to za umowa?
- Zapytaj go o jego żonę, o Virginie - powiedziała zwracając się do matki.
- Panie Quinn?
- Ona nie jest moją żoną! - huknął. - Rozwiedliśmy się sześć lat temu.
- Ale... zostawiłeś mnie w Kosti i... myślałam, że...
- Pani Latimore, czy mogę wyjaśnić pani tę sprawę? - uciął Ryan. - Pani córce nie można niczego wytłumaczyć.
- Skoro pan chce, panie Quinn. Proszę usiąść. Ma pan ochotę coś zjeść?
- Nie, nie mógłbym przełknąć nawet kęsa. Już samo patrzenie na tę... pani córkę doprowadza mnie do szału!
- Widzę - przyznała Mary-Kate. Słucham?
- Moja była żona znajdowała się w obozie w Kosti. Polecieliśmy tam z Mattie po ucieczce i zaraz poszedłem wydobyć Virginie z jej kryjówki. To ona powiedziała Ahmedowi, gdzie można nas znaleźć. Przechwyciła naszą prośbę o helikopter i natychmiast przekazała informację!

- Nie wiedziałam - przerwała z oburzeniem Mattie.
- Zamknij się - huknął Ryan. - Teraz ja mówię. Więc byłem trochę tym przygnębiony, pani Latimore, i sądziłem, że pani bardzo dojrzała córka oszczędzi mi...
 - Nie musisz mówić tak ironicznie! Skąd, u diabła, mogłam...
 - No, no, panienko - przerwała jej matka. - Brzydkie słowa do niczego dobrego nie prowadzą. Proszę mówić dalej.
 - Wreszcie wytropiłem moją byłą żonę, która ukrywała się w jednym z budynków w obozie. Natychmiast przeżyła kompletne załamanie nerwowe, które mogło wyrządzić trwałe szkody, gdybyśmy nie odwieźli jej do szpitala. Zostawiłem więc instrukcje Jensenowi...
 - Jensenowi? - pisnęła Mattie. - Temu nic nie znaczącemu dzieciakowi?
 - Tak, jemu - warknął Ryan. - Byłaś tak cholernie zajęta programem szkolenia, że nie mogłem się z tobą spotkać!
 - O rany - powiedziała cicho Mattie. To była prawda. Wyłączyła się na kilka dni, żeby opracować kursy. A biedny mały Jensen...
 - Jensen zachorował na gorączkę tropikalną. Musieliśmy go ewakuować - broniła się Mattie.
 - O! - mruknął Ryan. - Nie mów mi, że nie dostałaś ode mnie wiadomości?
 - Nie dostałam i nawet nie wiedziałam, że wyjechałeś, dopóki... dlaczego wyjechałeś?
 - Ktoś musiał towarzyszyć Virginii. Tylko ja coś o niej wiedziałem, więc mnie wybrano. Przebywa teraz w Centrum Medycyny w Teksasie. Może wyjdzie z tego za dwa, trzy lata.
 - O Boże - jęknęła Mattie. - Byłam tak cholernie zazdrosna. Prawie zgryzłam palce do kości zamartwiając się o ciebie!
 - Ze mną było podobnie, pani Latimore. Pani córka i ja mamy ważny kontrakt. Ustaliłem okup za narzeczoną. Trzydzieści dwie krowy, cztery z nich już ciężarne. Jeden wół. Cztery kozły. Szesnaście kurczaków.

- O Boże, jaka ja byłam głupia - jęknęła Mattie. - Ryan?

Zamiast odpowiedzi popatrzył jej w twarz i rozłożył ramiona. Przebiegła dzielącą ją przestrzeń i przytuliła się do niego. Mary-Kate otarła łzę z oka.

- Jediną osobą, która może potwierdzić zapłatę, jest mój mąż - zawołała, ale oni chyba jej nie usłyszeli. Za drzwiami rozległ się gniewny głos.

- Kto, u diabła, odpowiada za ten bałagan? Bruce Latimore zjawiał się w domu w samą porę.

Mary-Kate wyszła z uśmiechem do korytarza, zamykając za sobą drzwi salonu.

- Kto jest właścicielem tych wszystkich zwierząt? - grzmiał Bruce.

- Ty - odparła spokojnie, przytulając się do niego. Po dwudziestu latach małżeństwa przywykła do jego ryków.

- Ja? - zapytał podejrzliwie.

- Ty - powtórzyła. Ten jej wspaniały mężczyzna dorobił się wydatnego brzuszka i zmarszczek na czole, ale i tak go kochała.

- Mam nadzieję, że mi to wyjaśnisz?

- W salonie jest mężczyzna, który właśnie całuje twoją córkę Mathildę - tłumaczyła próbując zdusić śmiech. - Wyglądałoby na to, że ją kupił w trakcie pobytu w Afryce.

- Kupił moją córkę?

- Trzydzieści dwie krowy, w tym cztery ciężarne. Mary-Kate odginała kolejne palce.

- Cztery kozły. Jeden wół. I zapomniałam, ile kurczaków. To cena za narzeczoną.

- Mam rozumieć, że...

- W salonie.

Jego drobna żona poprawiła mu krawat. Wzruszył ramionami i weszli do pokoju. Ryan Quinn podskoczył tak gwałtownie, że omal nie zrzucił Mattie na podłogę. Schowała się za nim i dopinała guziki bluzki.

- Mówią, że zamierza pan poślubić moją córkę?

- Tak - odparł Ryan.

- A te... zwierzęta na moim trawniku są ustaloną zapłatą? - Co do kurczaka - odrzekł młody mężczyzna.

- W takim razie przyjmuję ofertę. Wiesz, muszę ożenić jeszcze dwie córki.

Wyszedł z pokoju śmiejąc się od ucha do ucha. Podobnie jak Ryan i Mattie, którzy zostali w salonie.

- Przekłęte guziki - powiedział Ryan. - Ilekroć je rozepnę, coś się dzieje. Czy to twój problem kalwiński?

- Nie - odparła z uśmiechem. - Odtąd możesz już działać na własną rękę.

- Musimy przygotować ślub, Mattie.

- Nie martw się szepnęła. - Mama się tym zajmie.

- Więc lepiej będzie, jak wynajmę pokój w hotelu?

- W Eastboro? Chyba żartujesz! Tu nie ma hoteli.

- To co ja zrobię do chwili ślubu?

- Moja siostra Rebecca mieszka w Middelboro...

- Fajnie. Jak to się rozpina?

- Klamerka jest z tyłu - odrzekła i pisnęła, gdy jego palce powędrowały ku jej piersi.

- Chyba nie wytrzymam tak długo - powiedział pełnym napięcia głosem.

- Ja też. Rebecca ma farmę niedaleko stąd. Poza weekendami w domu jest pusto.

- Więc?

- Więc dzisiaj jest poniedziałek.

- Kiedy możemy tam pojechać?

- Zaraz - odparła. - Nie mogę się doczekać. Boże, Ryan, kocham cię!

- A ja kocham ciebie - powiedział półgłosem. Chwyił ją na rękę i wymknął się z domu zatraskując za sobą drzwi.

Bruce Latimore potrząsnął głową słysząc hałas zamykanych

drzwi. Żona posłała mu ostrzegawcze spojrzenie i kopnęła go w kostkę.

- Czasy się zmieniły - syknęła do niego przy stole.
- Tak - westchnął płacząco. - Ale co z moim trawnikiem?

RRS